

PISMO ILLUSTROWANE DLA RODZIN.

№ 15. Warszawa, dnia 1 (13) Kwietnia 1876 roku. Rok 12.

CENA PRENUMERATY

Warszaw. z odn. do domu		na prow. w Cesar. i Królest.	
rocznie	rs. 6 k. „	rocznie.	rs. 8 k. —
półrocznie . . .	„ 3 „ „	półrocznie.	rs. 4 k. —
kwartalnie. . .	„ 1 „ 50	kwartalnie	rs. 2 k. —
miesięcznie. . .	„ „ 50	w Krakowie rocznie z stemplem dzienn. Złr. 10. w Galicyi Złr. 11 cent. 50. w Prusach roczn. 24 marek.	

OPIEKUN DOMOWY
wychodzi raz na tydzień, we Czwartek.

REDAKCYA, SKŁAD GŁÓWNY I EKSPEDYCYA
PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 72 NOWY.

Skład Główny w *Poznaniu* w księgarni Leitgebera i Spółki, we *Lwowie* w Księgarni polskiej, ulica Kopernika Nr. 12, w *Krakowie* w księgarni Gebethnera i Społki, *w Wilnie* u J. Zawadzkiego.

NUMER POJEDYNCZY KOP. 15.

TREŚĆ. W kwestyi posagów, przez F. Ehrenfeuchta. — Ślady życia, XV. — W wypróchniałym dębie, opowiadanie przez Witosława Halka, przełożył z czeskiego Aleksander Petrów (dok.). — Nasze stowarzyszenia. — Juliusz Cezar i jego dzieło, przez W. Z. tłómaczenie z rosyjskiego. (d. c). — Módlcie się za nią, powiastka Eugeniusza Moret (dok.). — Chancellor, notatki podróżnego S. R. Kazallon, przez Juliusza Verne (dal. ciąg). — Rozmaitości. — Od redakcyi. — Ogłoszenia.

W KWESTYI POSAGÓW.

O ile z jednej strony dobry tytuł pociąga ku sobie czytelnika, o tyle z drugiej zobowiązuje autora. Jakkolwiek okoliczność ta mniej wygodną w tej chwili dla mnie być się zdaje, tem żywiej wszakże pobudza me pióro do rozbioru w tytule zaznaczonego przedmiotu. Posag to rzecz nader sympatyczna, wywołująca nie jeden uśmiech na pięknych licach, wyraz zadowolenia na poważnej twarzy, łechcąca podniebienie próżniaków, lub wprawiająca w niehumor statecznych ojców rodzin; to kwestya na czasie, która zajmuje wiele umysłów płci obojej, łagodzi lub waśni stosunki familijne, a prawie zawsze utrwala stosunek małżeński. Co! co! co! zawołacie panie, przeholowałeś autorze, lub też niezręcznie już na samym wstępie ukazujesz nam kocie pazurki... Śliczna rekomendacya!...

Za pozwoleniem łaskawe panie, raczcie mię cierpliwie posłuchać; a jeżeli tak otwarcie przystępuję do przedmiotu, to dla tego by odrazu jasno postawić kwestyę i po jej rozwiązaniu zyskać wasze uznanie.

Powiadam więc stanowczo, że posag jest podstawą szczęścia małżeńskiego, rozumie się o tyle o ile to szczęście zależnem jest od nas samych. Założenie takie bynajmniej nie targa świętych ogniw miłości, nie zalewa strumieniem obyczajowego materyalizmu tego boskiego ognia, zatlonego w szlachetnem i tętnem życia bijącem sercu, ale owszem, tak pojęte, jak to poniżej wytłómaczę, przyczynia się do utrzymania go w całej sile, do subtelnego rozwijania go w miarę różnorodnych warunków, jakim ulega wędrówka życiowa, połączonych węzłem małżeńskim, dwojga osób. Chcąc dowieść założenia naszego, przedewszystkiem wypada zakwestyonować dotychczasowe pojęcie wielu o znaczeniu posagów. Ogół marzących o tych sukcesach zdaje się mniemać, iż posag jest niczym innym jak losem wygranym na loteryi, który dostaje się w udziale grającemu za pomocą ślepego trafu czy szczęścia, bez względu na jego osobistą wartość i zasługi. Każdy więc gra w tę loteryę życia od najwyższego do maluczkiego i każdy spodziewa się wygrać. Czy wygra to dopiero rezultat okaże, najczęściej jednak zapóźno otwierają się oczy. Mówią dalej, że naturą posagu jest tylko moneta kurs w kraju mająca, albo też wieś lub nieruchomość w mieście, którą z wielką łatwością na tę monetę zrealizowaćby można. I dla tego jeżeli się zdarzy usłyszeć zapytanie „jaki ma posag panna ta a ta,“ to zazwyczaj dają odpowiedź, iż posiada tyle a tyle pieniędzy, lub że łaskawy papa daje za nią zaraz, lub po najdłuższem życiu dom albo wieś; że dzieci jest tyle a tyle, zatem podział majątku będzie taki a taki. Zawsze charakterem posagu musi być pieniądz. W obec takiego pojmowania, posag a pieniądz będą pojęciami identycznemi; a w takim razie dla koniecznej równowagi obu stron, posażna czyli pieniężna panna na wydaniu, przyjąć może za męża tylko pieniężnego konkurenta. Jeżeli zaś wypadnie inaczej i zdarzy się zboczenie od tego konsekwentnego prawa, wtedy będziemy mieli z jednej strony pokornego niewolnika, z drugiej łaskawą jego panię; albo odwrotnie, stosownie do tego, która strona wniosła pieniądze. Dla tego też dziś mówiąc o konkurencie, bardzo często nie zapytują się, jakim jest ten pan jako człowiek, jako obywatel kraju, jakie posiada zasoby moralne i umysłowe, o ile jest lub być może w danych warunkach pożytecznym czynnikiem społecznym? bo na to wielu nie zwraca uwagi, lub podług innych kwestya taka leży na dziesiątym planie wartości jego, a nie wchodzi w rachubę wartości posagowych. Ale za to pierwszem zapytaniem będzie: jaki posiada kapitał lub rentę? a czasem stanowisko? Co znaczy: o ile jest krezusem, lub jakie posiada tytuły. Stanowisko bowiem w tem znaczeniu to nie poczciwa i rzetelna praca życiowa, to nie pożyteczna a cicha działalność indywidualna, to raczej echo dawnych zasług antenatów, zgłuszone bezczynnością potomków, to szczątki dawnych fortun, ręką próżniaczą doprowadzone do ruiny. Tak powierzchowne pojęcia, pozbawione głębszego zastanowienia, o ile bywają zgubnemi w skutkach swoich dla marzących o sukcesach posagowych, o tyle dyskredytują u ogółu sam przedmiot, który w obec dzisiejszego utyskiwania na brak kojarzenia się małżeństw, coraz to silniej z kwestyą matrymonialną jest łącznym.

Postawiwszy w krótkości założenie i zakwestyonowawszy ogólne pojęcia o posagach, przystępujemy teraz do usprawiedliwienia tak założenia jak i zarzutu.

Zgadzamy się w zasadzie, iż małżeństwo jest to harmonijne połączenie dwóch istot, dwóch serc, związanych wspólnością celów,

kroczących ręka w rękę przez czas wędrówki życiowej, w której napotykane dolegliwości i cierpienia zarówno jak pomyślność losu oboje odczuwać powinni, wspierając się wzajemnie w niedoli i szczęściu.

Cóż jest więc podstawą tej harmonii? Oto równowaga warunków, z jakiemi przystępują obie strony do tego moralnego związku. Każda z tych stron, decydując się na zawarcie małżeństwa, winna sumiennie obliczyć tak siły własne jak i siły drugiej osoby, ażeby to nieubłagane prawo wzajemnej równowagi, jako stanowcza rękojmia harmonijnego pożycia z całem zastanowieniem uwzględnione było. Nie można bowiem odbierać nic nie ofiarując, jak również trudno jest ofiarowywać nic nie odbierając. Rachuba tedy jest konieczna, niezbędna.

W obrachunek taki wchodzić powinny: siła fizyczna, moralna i intellektualna stron. Pierwsza będzie zasadą równowagi zdrowia i wieku, dwie drugie rozumu, charakteru i serca. Nakoniec wchodzić w obrachunek ten musi siła produkcyjna, wytwarzająca podstawę ekonomiczną pożycia małżeńskiego, a w braku tej konieczną będzie renta lub kapitał procentujący.

Wszystkie te warunki podciągamy pod jedną nazwę: *posag*. Pamiętajcie więc obliczać wasze posagi, ale obliczać tak by dywidendy od nich były wprost proporcyonalne do siebie i do potrzeb wspólnego pożycia!

Przypatrzmy się, jak obliczają w życiu. Oto młoda osoba w pełni życia i pragnień, posiadająca dostateczne siły do rozwinięcia w sobie zasobów moralnych, mało jednak cierpliwa, ażeby się postarać o to, zaślubia starego bogacza, by czemprędzej, bez trudów dojść do upragnionego dla siebie celu, do używania darów fortuny. Lecz cóż się staje? W krótkim czasie znika dziewiczy uśmiech pięknej pani, miejsce powabnych jagód zastępują gorączkowe rumieńce, twarz się wyciąga, a oczy uderzają błyskiem melancholijnym. Stroje, karety i liberya już ją niebawią, tłumy gości nudzą, a widok starego męża coraz to wstrętniejszym się staje. W sercu pusto, w duszy głucho i smutno! Brak przyjaciela, brak powiernika myśli, brak męża, któryby światłem rozumu rozjaśniał jej myśli, silnem ramieniem podtrzymywał siły, przyjazną ręką wskazywał drogę obowiązków i tętnem miłości odpowiadał biciu jej serca... Brak tego wszystkiego wprawia ją w rozpacz... Smutna przyszłość, grób za życia, albo nieprawidłowe potarganie kłamliwej przysięgi! Lecz któż ci pani winien żeś obliczać nie umiała? Idąc do ołtarza z wszelką świadomością chwili, przytłumiłaś pragnienie serca dla pragnień złota. Popełniłaś omyłkę w rachubie posagowej i zwichnęłaś konieczną równowagę. Teraz gdyby było możliwem powrócenie rzeczy do pierwotnego stanu, wolałabyś może dawną sytuacyę materyalną wraz z zasobami duchowemi, zespolić z człowiekiem odpowiednich twoim warunków i rozpocząć mniej błyskotliwy, ale szlachetny żywot pracy i szczęścia w zakresie domowego ogniska...

Ale oto nowy widok przedstawia się oczom naszym. Szczęśliwy młodzian biegnie poślubić bogatą dziedziczkę, tłumy młodzieńców winszują lub zazdroszczą temu panu, zdaje się, iż los wyciąga do niego ramiona. Stanąwszy u ołtarza, zdaje mu się, iż słyszy ostrzegający głos przyjaciela, ale nasz szczęśliwiec zatyka uszy i wkrótce huczne akordy weselnej muzyki zagłuszają ten maleńki niepokój. Pierwsze miodowe chwile spływają szybko w gorączkowem życiu, nowość sytuacyi bawi, świeży stosunek małżeński niby pociąga, zresztą pieniądz ułatwia coraz to nowsze niespodzianki, aż po pewnym przeciągu czasu, zostawszy na chwilę sam ze swemi myślami, ażeby nieco ochłodzić się z tej gorączkowej atmosfery życia, przywodzi sobie na pamięć głos przyjaciela i poważne zastanowienie poczyna działać.

W jednej chwili staje przed oczy młoda dziewica, zasobna w pracę i w wysokie zalety moralne, którą porzucił dla posagów brzęczących, rozgrymaszonej i zepsutej zbytkami lalki. Pot zimny oblewa naszego młodzieńca, spostrzega, że tamtę kochał, że tamta choć nie posiadała skarbów brzęczących, miała zasoby moralne, więcej warte w obecnym wypadku jak złoto jego żony, której kroclowy majątek nie mógł wyrównać milionowym kaprysom. Z przerażeniem poznaje, iż się przerachował, bo obustronne wnioski posagowe znalazły się do siebie i do wymagań życia w stosunku odwrotnym, z czego się wywiązała nierównowaga i dysharmonia małżeńska... Tu znów bogata panienka, opływająca w dostatkach, zapragnęła tytułów, urojonego znaczenia, mitry w herbie. Cóż jej poradzić? Ona nigdy nie miała sposobności zetknąć się z normalnem życiem, z którego to punktu mogłaby jasno poznać, jak jest niebezpieczną taka budowa szczęścia. Głowę jej perfumowano mnóstwem komunałów i błyskotek salonowych. Nikt jej nieukazał jasnej i rzetelnej drogi życia, po której właśnie szukać należy szczęścia; gdy w miejsce tego piękne jej uszko nasłuchało się samych kłamstw i pochlebstw. Nic więc dziwnego, że upamiętanie przyszło zapóźno, bo już po zamążpójściu za wybladłego i łysego księcia, który cały zasób sił fizycznych i moralnych pozostawił za kulisami wielkiej opery w Paryżu— młodą zaś żonę pojął w celu podreperowania zaszarganej fortuny swojej i silnie sfatygowanych kości. Pani zaś zyskała na tem, że dostała człowieka *ze stanowiskiem*. Smutne jednak doświadczenie zaczęło prostować jej myśli. Doszła nakoniec do przekonania, iż nie z takim człowiekiem należało jej szukać szczęścia, że mitra nie zaspokoi serca, że błyszczenie w salonie i odbieranie hołdów są wartościami zbyt małemi, ażeby mogły zaważyć na szali szlachetnych uczuć. Biedna poznała zapóźno, iż biegła do grona bezmyślnych maryonetek, w towarzystwie których tego samego co i tamci losu spodziewać się może a u kresu którego czeka ją nuda, jeśli nie rozpacz i upadek. Lecz czemuż się nie zastanowiła nad posagiem oblubieńca swego, czemu nie położyła jego wartości posagowych na przeciwnej szali wartości własnych, czemu nakoniec nie splotła życia swego z człowiekiem umysłu i serca, choć bez mitry i brzęczącego posagu?

Nakoniec spojrzyjmy jeszcze na tego pana, który doszedłszy do bardzo poważnej już młodości, zdecydował się nareszcie poślubić kobietę.

Życie pełne romansowych scen i awantur, będące jednem pasmem zabawki z dnia na dzień, zmęczyło go i znudziło. Zasoby materyalne bardzo szczupłe, jakkolwiek byłyby nierównie większe, gdyby ich nie zmarnował. Słaba kwalifikacya do pracy, nakoniec umysł lekki, moralność wątpliwa i szarpnięte zdrowie, stanowią niezbyt hojny posag tego pana, a wszystko stawia go w możności, żądania bardzo mało. Lecz on nie chce się obrachowywać z wartościami swemi, nie chce również poślubić ubogiej i poczciwej dziewczyny, którąby ciepłem swego serca ogrzała jego moralność, stworzyła mu domowe ognisko, a pracą wspólną podtrzymała dobrobyt domowy. Ten pan pragnie brzęczącego posagu i dla tego po długiem nareszcie polowaniu sprzedaje się w najlepszym razie jako płaszcz małżeński za cenę pewnej ilości rocznej monety. Takie i tym podobne przykłady, nieobce zresztą czytelnikom, objaśniają dostatecznie o całej ujemnej stronie zakwestyonowanego przez nas pojęcia o posagach. Objaśniają również, że pieniądz a posag nie są pojęciami identycznemi, że w rachubę posagową wchodzić powinny koniecznie warunki moralne i fizyczne, jako nieubłagane prawa harmonii pożycia małżeńskiego. Jeżeli społeczeństwo ma się cieszyć moralnem zdrowiem, musi się oprzeć na rodzinie, która jest jedyną podwaliną tej moralności. Należy więc baczną zwrócić uwagę na organizacyę rodziny, ażeby stosunek najgłówniejszych jej czynników: żony i męża, polegając na rzeczywistej a nie urojonej równowadze małżeńskiej, zgotował pożądane zdrowie społeczne.

Czytelniczko! jeżeli jesteś *panną na wydaniu*, pomnij by zasadą wyboru twego było przedewszystkiem uczucie, poparte rozwagą. Z chwilą spełnienia wyboru stajesz się kobietą; pamiętaj, że wybór taki to krok stanowczy, decydujący o dalszem życiu twojem. Przedtem przebyłaś szczęśliwie pierwszą epokę życia, epokę dziewiczej młodości, w której uśmiech nadziei splata w jedną harmonijną melodyę wszystkie akordy marzeń młodej główki. Nowa zaś wędrówka, na którą się wybierasz już nie sama, ale wsparta ramieniem męża, przedstawia inny zupełnie obraz, obraz poważnego życia rodzinnego. Inne jak dotąd obowiązki, inne życie, inne szczęście cię czeka. Jeżeliś nic jeszcze dokładnego nie słyszała o tej nowej wędrówce, to staraj się wywiedzieć od tych, którzy ją przechodzą lub przebyli i odpowiednio zrozumieli, ażeby stanowcza chwila znalazła cię rzeczywiście przygotowaną, tak byś nie potrzebowała później żałować kroku swego. A gdy będziesz zbrojną we wszelkie warunki potrzebne do tej ważnej ofiary społecznej, gdy przyzwiesz na pomoc wytrwałość, tę pierwszą broń w walce z życiem, niewątpliwie znajdziesz szczęście z człowiekiem moralnych zalet, choć bez brzęczącego posagu.

Zarówno jak mężczyzna, posiadający w rubryce posagowej obok intellektualnej i moralnej stronę produkcyjno-ekonomiczną, tak i kobieta posiadająca pewne wykształcenie,

umiejąca zastosować się do warunków losu, zasobna przytem na wszelki wypadek w jaką umiejętność specyalną, nie potrzebuje w intercyzie ślubnej wnosić monetarnego posagu. Dopóki jednak większa część oblubienic naszych nie stanie na powyżej wskazanem stanowisku, dopóki w obec ciężkich warunków materyalnych, w jakich się znajdujemy, nie pozbędzie się zbytnich wymagań życia światowego, mody, szyku, a czasem i kaprysów, dopóty coraz bardziej zmniejszać się będzie cyfra zawieranych małżeństw; dopóty będzie mowa o brzęczących posagach, jako o koniecznem dopełnieniu moralnych braków posagowych; dopóty nakoniec praktykować się będą od czasu do czasu nadużycia w obietnicach przedślubnych, zmniejszających się o kilka zer po ślubie, co spowodowywa najczęściej rozerwanie, lub w najlepszym razie wojnę świeżo połączonego stadła.

Obliczajcie więc panie, ale dobrze, swoje wnioski posagowe. Panowie zaś nie przeceniajcie się, lecz sumiennie stawiajcie cyfry wartości swojej, a może powoli zdołacie uregulować kwestyę posagową, co niewątpliwie wpłynęłoby na powiększenie liczby domowych ognisk. *Feliks Ehrenfeucht.*

ŚLADY ŻYCIA.

Tyle życia ile... w c z y n i e.

XV.

„Gazeta Polska" z d. 20 marca r. b. daje następującą odpowiedź „St.-Petersburskim Wiadomościom." Uświęconą jest powszechnie zasada dziennikarska, że piszący o jakiejkolwiekbądź społeczności, obowiązani są poznać ją dokładnie i umiejętnie, przedstawiać i oceniać fakta z wyższą nad wszystko prawdą i sprawiedliwością, ściśle i jasno, sumiennie i bezstronnie.

Wszelkie stawiane sobie z góry teorye czysto tendencyjne, uwodzą piszących i obałamucają umysły. Zacierając główne zadanie, spychają na manowce namiętności, fałszywego missyonarstwa, i wyradzają niebezpieczeństwo dla moralnego postępu życia cywilizacyjnego. Zamiast dopomódz do spokojnego pojmowania swoich zadań, drażnią one społeczeństwo i sprowadzają z drogi, jaką rozum i pojęcie dobra ogólnego wskazywać winny.

Takie zasadnicze uwagi o powinności dziennikarstwa cisną się nam pod pióro z goryczą, pod wpływem uczucia krzywdy, jaką wyrządza nam pewien organ prassy petersburskiej —pojawiającemi się artykułami o naszej społeczności, dziwnie nacechowanemi powierzchownością w sądzie o rzeczach, oczywiście nieznanych dokładnie.

Z tego powodu czujemy się w obowiązku wystąpić stanowczo, w imię godności myśli i słowa publicznego, w celu zapobieżenia mogącym wyniknąć stąd błędom ogółu.

Podnosimy dzisiaj jeden tylko, najświeższy artykuł „St.-Petersburskich Wiadomości" p. t. „Głosy z prowincyi, 1° z Warszawy,"—jeden z niego ustęp, który szczególnie nas razi, i słusznie oburza.

Korespondent pisze, że nasza społeczność „lęka się utrzymania dotychczasowych urzędników sądowych na nowych posadach, będąc zrażona znaną ich dotąd niemoralnością przy wymiarze sprawiedliwości, wyzyskiwaniem korzyści materyalnych, tudzież tendencyjnością szlachecką na szkodę włościan.

Wprost odtrącamy taki zarzut, nazywając go bezzasadnym: a odwołując się do sumienia korespondenta, zapytujemy go kategorycznie: jakie ma dowody na poparcie tak śmiałego twierdzenia?

Sądownictwo tutejsze, wyrobione historycznie pod sterem przywódców surowej prawości i nieskazitelności a wysokiej nauki, nie splamiło się nigdy niczem; owszem, położyło zasługi, które mu zjednały powszechny w kraju i zagranicą szacunek.

Kronika i statystyka sądowa, w rubryce spraw urzędników sądowych, przedstawia czyste karty.

Na poparcie słów naszych odwołujemy się do świadectwa każdego mieszkańca, miłującego prawdę i sprawiedliwość. Odwołujemy się do Najwyższego Ukazu o reformie, który zapewnia tutejszemu składowi sądownictwa dalsze funkcyonowanie na odpowiednich posadach. Odwołujemy się wreszcie do zdania nowych zwierzchników sądowych, którzy mieli już sposobność wyrobić sobie pogląd na charakter tutejszego sądownictwa!

Powtarzamy raz jeszcze, społeczność nasza z oburzeniem odpycha od siebie potwarz. Źle też czynią „St. Petersburskie Wiadomości", wchodząc na tę drogę, która im nie zjedna ani zaszczytu ani sympatyi ludzi światłych i sumiennych.

Przy małem wynagrodzeniu i biedzie, a mozolnych trudach, pracownicy w dziedzinie prawa, biorąc rzeczy w ogóle, nie dopuścili nieuczciwości, nie zeszli na ścieżki przewrotne przedajności i gwałtów; wyjątkowo też chyba śmiał kto pomyśleć o pokuszeniu się na ich sumienia.

Gdzież są te łupy zysków, te ofiary narzekające?

Czekamy odpowiedzi.

Nawet pomimo braku w dotychczasowej organizacyi sądownictwa systemu ścisłej kontroli, przez bliższy nadzór hierachiczny zwierzchników sądowych, przez izby notaryuszów, obrońców, komorników,—pomimo przystępności ksiąg hypotecznych dla ogółu, pomimo ułatwionego, na dobrej wierze opartego, kommunikowania wzajemnego akt sądowych—nie słyszeliśmy o nadużyciach; a jeżeli były jakie wyjątkowe zboczenia, to czyż godzi się podnosić je do znaczenia ogólnego."

* * *

W dniu 5 b. m. w sali resursy obywatelskiej odbyło się widowisko artystyczne na dochód p. Rakiewiczowej. Widowisko to było rzec można świetne i odbyło się prawdziwie artystycznie. Program takowego składał się przeważnie z deklamacyi a była tam i muzyka. W ogólności reprezentowane były pierwszorzędne siły nasze artystyczne, jak: panie Rakiewiczowa, Modrzejewska, Dowiakowska; panowie Królikowski, Żółkowski, Fileborn etc. Pani Rakiewiczowa we wstępie wypowiedziała wiersz p. Wacława Szymanowskiego p. t. „Jedna z wielu." Wypowiedzenie to było prześliczne, na co ta sympatyczna artystka posiada bogactwo melodyjności w głosie. Królikowski deklamował: „Zamknięcie cyrku" Kaszewskiego, i dodawać nie potrzebujemy, że deklamował znakomicie tak jak tego spodziewać się można było—i że wspaniale uwydatnił piękności wiersza. W Żółkowskim widzieliśmy znakomitego Smakosza z „Przyjaciół" Fredry, a panie Modrzejewską i Rakiewiczową w „Dwóch Boleściach" Coppée'go (przekład Szobera). Wszystko to oddane było prześlicznie jak niemniej i egzekucya w części wokalno-muzycznej zasługiwała, na zupełne uznanie publiczności naszej, która w niepraktykowanej co do ogromu swego liczbie napełniła salę resursy obywatelskiej, bo przechodziła liczbę 1,000 osób. Zgromadzenie się to i grzmoty oklasków, jakiemi obsypano na samym wstępie panią Rakiewiczową, oklasków oddanych z całym zapałem, świadczy o wysokiej sympatyi publiczności naszej dla tej znakomitej artystki, która pracą i talentem na deskach sceny naszej uwiła sobie piękny wianek artystycznej zasługi w przekonaniu publiczności. Szkoda tylko, że uznanie to nie znalazło jeszcze echa tam, gdzie powinno znaleść, a gdzie widocznie wzbraniają mu przystępu, lecz miejmy nadzieję, może sprawiedliwość weźmie górę nad... (w tem miejscu nieczytelny rękopism).

* * *

Mówiąc o rzeczach artystycznych, wspomnieć wypada i o konkursie dramatycznym; tak jest czytelniku, o konkursie dramatycznym w Warszawie, na którym zmierzą się zapewne wszystkie siły literacko-dramatyczne, a co najmniej większa ich część. Będzie to prawdziwy pojedynek literacki z gwarancyą sprawiedliwego rozstrzygnięcia. Od tego pojedynku współczesna literatura dramatyczna u nas nabrać sił, spotężnieć powinna. Są szranki, są gladyatorzy, a więc i zwycięzcy zapewne będą. Czekajmy na nich! Incognito dziś zachowane, co jest największą zaletą konkursu, bo usuwającą wszelkie „ja." Tam każdy dobrym być może i każdy najlepszym, bo tylko dzieło mówi za niego. Dotąd w naszej skromnej arenie literacko-dramatycznej, mieliśmy kilku „jednych ze znakomitszych pisarzy dramatycznych," to bardzo pięknem było, lecz... nie każdy mógł się zgodzić na to; obecnie dowiemy się, kto jest *najznakomitszym.* Konkurs ten, spoczywający w rękach komisyi konkursowej przy dyrekcyi rządowej teatrów warszawskich, rozpoczętym został w kwietniu roku przeszłego. Wyznacza dwie nagrody: 1-a rs. 600, 2-a rs. 300. za utwory najlepsze z pomiędzy nadesłanych sztuk warunkom miejscowym, scenicznym i estetycznym odpowiadających, wybrane. Otóż z dniem 1 kwietnia konkurs został zamknięty i żadne utwory sceniczne nadal już nadsyłanemi być nie mogą. Przez czas roczny ubiegłego terminu nadesłano aż czterdzieści kilka sztuk. Jak widzimy, jest to ogromna porcya, liczebnie jest w czem wybierać, co do jakości zaś..... nie wiemy. Wielu zapewne autorów z biciem serca oczuje na rezultat, cze-

kać więc i nam wypada ażeby czytelnikom naszym zakomunikować takowy, gdy godzina stanowcza wybije!

* * *

W dzisiejszej kronice przychodzi nam zaznaczyć bardzo niepochlebny *ślad życia*, dowodzący wysokiej nikczemności, równającej się ukrytemu sztyletowi włoskiemu. Pan L. S. cichy pracownik w skromnej arenie życia, nie mącący nikomu, jak to mówią, wody, stał się w tym czasie przedmiotem takiej ukrytej napaści, objawionej w formie paszkwilu, rozesłanego do wielolicznych jego znajomych. Paszkwil ten wyobrażał litografowaną kartę zaręczynową, w której obok nazwiska p. L. S. postawiono imie i nazwisko niby jego oblubienicy, córki jednego z najsławniejszych lichwiarzy warszawskich, stojącego jednem słowem pod pręgierzem opinii publicznej, na którą tak głos sądów, jak i ludzi uczciwych położył już swój stempel. Rozumie się, paszkwil ten, rozesłany po mieście w wielu egzemplarzach, nie mógł być słodkim cukierkiem dla p. L. S. bo oprócz usprawiedliwiania się na wsze strony w kole znajomych swoich i wykazywania całej podłości takowego, naraził tegoż p. L. S. na rozmaite docinki i dwuznaczne uśmieszki, których niejeden nie szczędzi, choćby tylko dla płaskich konceptów. Wielu bowiem znajdujemy faryzeuszków, którzy jak pijawki radzi będą ssać gorycz drugiego.

Ponieważ zdarzenia tego nie możemy uważać za fakt czysto prywatnej natury, lecz nadajemy mu wagę więcej ogólną, więcej publiczną, z powodu coraz to częściej napotykać się dających w najróżnorodniejszych formach anonimów i paszkwilów, przeto poświęcamy mu głos w niniejszem piśmie, czyniąc to w przekonaniu, że dopełniamy tylko obowiązku publicysty. Wielokrotnie już prasa nasza podnosiła kwestyę anonimów, wykazując całą tych ohydę. To wszystko jednak nie skutkuje. Anonimy coraz liczniej się pojawiają, dotykają najzacniejszych ludzi a niecni fabrykanci takowych, przemyśliwają nad postępem różnorodności formy tej czarnej elukubracyi. Anonim w właściwem znaczeniu jest objawem najnikczemniejszego tchórzostwa, kierowany pierwiastkiem podłości. Człowiek bowiem zdolny do anonimu, narażającego na szwank czyjąś dobrą sławę, nie spojrzy oko w oko przeciwnikowi swemu, ale za to ukradkiem, w noc ciemną, pod maską, utopiłby sztylet w nim. Taki człowiek jest nikczemnym tchórzem i takiego pręgierzem opinii czy to sądowej, czy prywatnej, czy publicznej piętnować należy, ażeby niszczyć ten cuchnący chwast pojawiający się na niwie społeczeństwa naszego.

Jakkolwiek p. L. S. zaniósł podanie do właściwej władzy o wyśledzenie sprawcy pomienionego anonimu, to przed uskutecznieniem wszakże tego niech głos nasz potępienia, poprzedzony już takąż opinią, wyrażoną w „Kuryerze Warszawskim.“ dojdzie do ucha tegoż sprawcy, który powinien się dowiedzieć że nie ten jest zhańbionym kto odbiera anonimowe paszkwile, ale ten kto je rozsyła.

* * *

Niedawno odbyło się ogólne zebranie towarzystwa wsparcia artystów muzycznych, istniejącego w Warszawie. Na tem zebraniu postawiono wniosek podwyższenia składki, a przez to jakoby zwiększenia emerytury. Wniosek popieranym był przez większość członków i w końcu oddano go do szczegółowego obrobienia oddzielnej komisyi. Zdaje nam się, że nie tyle podniesienie wysokości składek, ile zwiększenie liczby członków, a tem samem i składek liczebnie, lepszyby skutek wywarło na ogólną cyfrę dochodu. Łatwiej bowiem być członkiem mniejszą opłacającym składkę aniżeli większą, zaczem idzie zwiększenie liczby członków, o co właściwie staraćby się należało.

Z ogłoszonego sprawozdania tegoż towarzystwa za rok 1875, podajemy tu następujące cyfry. Majątek towarzystwa wynosi rs. 27,650. Dochód zeszłoroczny wynosił rs. 2,970. Rozchód za ten czas rs 2,527. Członków honorowych było 49, zwyczajnych 93.

* * *

Słyszeliśmy, że p. Aleksander Niewiarowski otrzymał pozwolenie władzy na wydawanie Gazety teatralnej. Tego rodzaju pismo, które najlepiej „Antraktem“ nazwaćby wypadało, może mieć u nas powodzenie, zwłaszcza gdy rzeczywiste antrakty teatralne są u nas zbyt długie i nudne, a skrócenia ich doprosić się nie można. Jako więc *remedium* na nudy antraktowe pożądaną będzie gazeta taka, na której z jednej strony znajdowałby się afisz, a z drugiej rozmaite wiadomostki i nowinki, do tego tania, po cenie kosztu zwyczajnego afisza, byleby tylko zbyt energiczna gra oklepanych mazurów i polek orkiestry p. Lewandowskiego, czytać takową łaskawie pozwoliła.

* * *

Na miejsce dotychczasowego reżysera komedyi teatru naszego p. Rapackiego, uwolnionego od tych obowiązków na własne żądanie, mianowanym został p. Władysław Bogusławski, współpracownik i recenzent teatralny Kuryera Warszawskiego. Pan Bogusławski przyjął na siebie obowiązek ciężki, w piastowaniu którego, obok wiadomości estetycznych, obok krytycznych poglądów na sztukę, nieodzowną jest znajomość techniczna sceny, której nabyć można tylko przez praktykę. Dla tego też, sądzimy, że pomoc artystów naszych pożądaną niezmiernie będzie dla p. Bogusławskiego, który zapewne zechce zasięgnąć od nich doświadczonych rad i uwag w technice scenicznej, ażeby działalnością swą reżyserską przynieść istotny pożytek sztuce.

* * *

Doczekaliśmy się tedy zatwierdzenia przez ministra spraw wewnętrznych ustawy dla osady rolnej w Studzieńcu. Ustawa więc zatwierdzona, osada gotowa, pozostaje tylko otworzyć jej bramy, wpuścić nieletnich przestępców kryminalnych i wprowadzić w czyn tyle szlachetną i ludzką rehabilitacyę ich. Co wszystko niebawem zapewne nastąpi.

* * *

Profesor Ajwazowski z Petersburga nadesłał na wystawę towarzystwa zachęty sztuk pięknych w Warszawie siedm znakomitych obrazów swoich, które pomieszczono osobno i za obejrzenie których, oddzielną opłatę w czwartki, niedziele i święta po kop. 5, a w dnie powszednie po kop. 15 ustanowiono. Dochód cały, jaki stąd przypadnie, szlachetny profesor, artysta malarz przeznaczył na korzyść kształcącej się w malarstwie młodzieży polskiej.

Nie będziemy uprzedzać czytelnika o piękności wystawionych obrazów, ale radzimy mu poświęcić 5 lub 15 kop. i pofatygować się na wystawę, a trudu ani tak skromnego kosztu żałować nie będzie. Owszem, wyjdzie z zadowoleniem, że zobaczył piękne rzeczy i złożył grosz na cel szlachetny.

W WYPRÓCHNIAŁYM DĘBIE.

OPOWIADANIE

przez

Witosława Halka

przełożył z czeskiego

ALEKSANDER PETRÓW.

(Dokończenie).

VI.

Nadszedł nareszcie dzień oznaczony; teatr jak zazwyczaj był napełniony, choć może nie tak jak poprzednio. Publiczność znała operę, znała śpiew Kasi, przywykła do niego, jak naturalnem następstwem do wszystkiego przywykamy. I morze rozhukane uspakaja swe bałwany. Kasia była dla nich zjawiskiem nadspodziewanie miłem, lecz już do niego się przyzwyczaili. Szli dziś do teatru raczej ze zwyczaju, jak z potrzeby, już ich tam nic nie ciągnęło. Wszystko, co dziś mogli zobaczyć i usłyszeć, nie mogło być już ani nowem, ani zajmującem. Widzieli to i słyszeli już nieraz, dziś przypomnienie znanego było jako pokropienie rosą, aby nie zamarło w pamięci, aby ożywiło się. Wspomnienie, powtórzenie jest zazwyczaj blade, jak lilia obok róż, pełnej nowości. Teatr niczem się nie wyróżniał osobliwszem. Publiczność zachowywała się spokojnie, nie znać było żadnego uniesienia, entuzyazmu. Podobnie jak podróżujemy kilkakrotnie po pewnej okolicy; wiemy gdzie mamy wyjrzeć z powozu, a gdzie zasłonić okna.

Oto siedział w orkiestrze jeden nowy skrzypek, lecz czy to zmieni postać teatru! Czyż zmieni się wielce okolica, jeśli przez nią przepływa jeden strumień więcej, jeden strumień mniej? W orkiestrze! Orkiestra nie jest sceną. Na scenie zaraz wiedzą o każdej zmianie; do orkiestry, ktoby tam patrzał! Czy siedzi przy bębnie młody zamiast starego, którego wczoraj pochowali, cóż z tego wyniknie? Czy stoi przy basetli człowiek łysy, który przed kilką laty jeszcze pleszu nie miał, więc cóż z tego? Ani jeden człowiek nie zauważył tej głowy dopóki pokryta była włosami, ani jeden jej też nie zauważy, kiedy jest łysa.

Nowy muzyk! W orkiestrze siedzi ich mnóstwo; czy tam jest o jednego więcej czy mniej, na to zwrócą uwagę tylko członkowie orkiestry, między którymi są tylko muzycy; postaci teatru to nie zmienia. Bywają i w orkiestrze znakomici mistrze, więksi jak na scenie, lecz publiczność zwykła patrzeć się tylko na scenę, zostańmy więc i my przy jej zwyczajach.

Zasłona podniosła się.

Gdy przyszło grać skrzypkowi solo, wtedy zaczął Jaś. Skrzypek przy tem solo miał nieco swobody, nie potrzebował trzymać się ślepo nut, mógł improwizować, i improwizował.

Gdy Jaś zagrał, poruszyła się publika i ciekawie spojrzała do orkiestry, poznała bowiem że dziś kto inny gra. I te dźwięki były inne. I ledwo chwilkę posłuchali, wstrzymali oddech. Te skrzypce naraz były i płaczem i żałobą. Podgórza i lasy w nich się rozpłakały i człowiek się skarżył. I skarżył się z boleścią i gniewem.

Teatr poruszył się znowu. Postać jego zmieniła się jak za dotknięciem czarodziejskiej różczki. Jaś publiczność przygotował i zagrał teraz: „Osierociało dziecię.“

Było to straszne narzekanie i w tem narzekaniu wściekała się burza. Ludzie obcierali łzy i osłupieli z podziwu.

A te skrzypce jakoby chciały rzec: „Jako dwa kwiatki na jednej odnóżce wzrośliśmy, a ty drapieżna ręko społeczeństwa, zerwałaś jeden a jam drugi osierociał.“

I te skrzypce jakoby mówiły: „Jako dwa ptaki unosiliśmy się razem po podgórzu, i gdyśmy zaczęli radzić o tem, z czegoby upleść sobie gniazdo, nienasycone żądzą społeczeństwo wynalazło klatkę, złapało mą towarzyszkę, a jam osierociał.“

I jakby mówiły dalej: „My, dwa serca, rośliśmy przy sobie i jedno w drugie zapuszczało korzenie; jam te serca hodował, aby uczynić je jednem, ale wyście to jedno wyrwali, korzenie zaś, które wyciągnęliście z niem, pozostawiły rany a te, których nie wyrwaliście, bolą jeszcze więcej, wy to serce macie, a jam po niem osierociał.“

I mówiły dalej: „Myśmy żyli prosto jak przyroda przyśpiewując i przygrywając sobie, myśmy się kładli spać z pieśnią, i z pieśnią budziliśmy się. Lecz wy potrzebowaliście umiejętności, skaziliście przyrodę i ona tutaj miota mną, a jam osierociał.“

I jeszcze mówiły: „Wyzięboliście wiarę z mojego żywota, a coście na jej miejsce zasadzili? Któż was odważy się o co poprosić, jeśli skubiecie serce moje z ciała za żywa? Wszak ja mam prawo płaczu, skargi, gniewu i przekleństwa, i ja oskarżam was, nie nawidzę was i przeklinam tylko, ja dziecię osierocone!“

I jeszcze wiele podobnych rzeczy wypowiadały skrzypce, i publiczność to słyszała i rozumiała, dziwiła się i płakała. Zdawało się, że to jest powołanie na sąd ostateczny, ręka niewidzialna kreśliła te wyroku słowa i słowa były zrozumiałe dla nich. Powstali z krzeseł i ławek, aby widzieć tego, kto tak przez struny swe mówi—i piersi ich były pełne żalu, współczucia. Ten, który jeszcze przed chwilą zajmował ostatnie miejsce, obecnie był pierwszym. Ten jeden zmienił postać teatru do niepoznania. Były to proste dźwięki, lecz wzruszały i porywały. Publiczność drżała ze wzruszenia, wewnętrzne wzruszenie kołysało nią, lecz zachowywała się spokojnie.

Cisza to przejmująca!

A cóż na scenie? Na scenie był domek i w nim towarzystwo.

Gdy Kasia tę pieśń usłyszała, opuściła towarzystwo, przebiegła po całej scenie aż do przodu, aż do orkiestry się zbliżyła, a potem wróciła do towarzystwa. Nie mogła jednak wysiedzieć. Wybiegła znowu, załamała ręce, wzniosła je ku niebu, to ściskała niemi swą głowę, to przykładała je ku sercu, i znowu pędziła po całej scenie jak szalona, jakby zmysły straciła; padała na ziemię, to nagle zrywała się, chcąc gwałtem utrzymać się na nogach, lecz w tych wysileniach siły ją opuściły, wykrzyknęła głosem, który każde serce rozrywa i padła na ziemię złamana, zemdlała.

Była to mimika nad wszystko w świecie znakomita, była to mimika, której jakoby pierwowzór nakreślił sam Stworzyciel świata.

Kasia leżała a Jaś jeszcze grał i publiczność unosiła się nad nieporównaną grą Kasi i była zachwycona nieporównaną grą Jasia.

I znowu zagrali razem.

Zasłona chwilkę jeszcze była podniesioną, i kiedy skończył Jaś, spadła. Wtedy powstał w teatrze zgiełk, taki wrzask, taki grzmot, że czegoś podobnego nigdy tu ani widziano ani słyszano.

Publiczność w uniesieniu odchodziła od siebie. Zasłona podniosła się. Ale Kasia tam leżała jeszcze, nie dziękowała, nie uśmiechała się.

Zasłona spadła, lecz publiczność nie przestawała klaskać i krzyczeć dalej, i tu w orkiestrze powiedzieli Jasiowi, że to pochwała jaką oddają jemu, i że się należy zwrócić do publiczności i podziękować. Jaś się zwrócił dziękował i uśmiechał się, dziękował i uśmiechał się także w imieniu Kasi.

Publiczność chciała jeszcze widzieć Kasię, i towarzysze z orkiestry powiedzieli Jasiowi, że musi wystąpić na scenę i podziękować ze śpiewaczką. Wprowadzono go na scenę i kiedy się zasłona podniosła, publiczność widziała Jasia klęczącego przy Kasi, i wołał: „Kasiu, Kasiu!“ lecz tego w teatrze nikt nie słyszał z powodu wielkiej wrzawy.

Zasłona spadła i zdało się widzom jakoby kto nóż wetknął im w piersi, i ten nóż każdy czuł.

Któryś z aktorów oznajmił, że Kasia zasłabła, i publiczność powoli przychodziła z burzy do spokoju.

Nikt już więcej nie występował z oznajmieniami, lecz do publiczności jakoby wpadła błyskawica i ta błyskawica mówiła: „Kasia umarła.“

Ta błyskawica sprowadziła na publiczność smutek.

Potem na scenę wybiegł Jaś, błąkał się po niej, jak przedtem Kasia. Ukląkł nareszcie przy niej i w tem położeniu pozostał. Kasię trzeźwili, lekarzów przywołano i zdawało się, że nadzieja jeszcze zupełnie nie zgasła. Kasia otworzyła oczy, coś szeptała, jakby czegoś ręką szukała, nikt tego nie rozumiał.

Jaś wołał: „Kasiu, Kasiu!“ I Kasia jakby zbierała gasnące siły w jeden światły promień, utkwiła oczy w Jasia, patrzała na niego z uśmiechem i rzekła: „Spotkaliśmy się!“

Jaś klęcząc z nieopisaną boleścią mówił: „Kasiu, Kasiu! Spotkaliśmy się.“

Wynieśli ją ze sceny do powozu i Jaś udał się za nią. W powozie siedział pierwej, nim ją tam położyli, a gdy ją kładli, wziął Kasię w swe objęcia. I trzymał ją czule i ciepło, że mogła być jak w różach, trzymał ją na swem sercu, oddechem swym dotykał się jej oddechu, okiem swem chwytał promienie jej oka i chwilami, jakby w głębi duszy, odzywało się: „Kasiu, spotkaliśmy się!“

Kasia nie mogła więcej mówić słowami, dusza jej mówiła tylko spojrzeniem i uśmiechem, i w tem spojrzeniu był uśmiech. I jeszcze zdobyła się na słowa: „Ja wiedziałam że przyjdziesz, ale już się tobie na nic nie przydam.“

Powóz toczył się powoli, była to smutna chwała, z którą dziś jechała do domu, a jednak się uśmiechała. Lecz teraz uśmiechem darzyła jednego, był on prawdziwy, serdeczny, był jakoby całą istnością, był całym żywotem, ale żywotem, który wybuchał ostatniemi zasobami. Kasia to wiedziała, Jaś to przeczuwał i błagał: „Kasiu, nie opuszczaj mnie, będziemy wiecznie razem!“

— Pozdrów wypróchniały dąb! rzekła Kasia. Chciałam cię tam znaleść, tyś przyszedł pierw, i tak dobrze.

Przyjechali przed Kasine mieszkanie, Jaś drogi ciężar wyniósł sam, i niósł do pokoju, tam ją położył, i Kasia jeszcze swą ręką dotykała się jego twarzy. Na twarzy jej osiadł uśmiech, lecz oczy gasły, życie dogorywało, nie poruszyła się więcej.

Jaś klęczał przy niej, lecz ona już nie mówiła.

Publiczność rozeszła się z teatru, wielu obstąpiło dom Kasi, mówili o niej i skrzypku, i po Pradze obiegała pogłoska, że Kasia umarła.

Burza z teatru przeniosła się teraz na miasto, i w miarę tego jak rozszerzała się, traciła swą przerażającą moc.

—Dostała napadu apoplektycznego, mówili jedni. — Nieszczęśliwie upadła, twierdzili inni. Nikt nie wpadł na myśl, że muzyka Jasia to sprawiła. Jaś przyświadczał. — Nieszczęśliwie upadła, mówił.

Jaś był przy Kasi sam; w głowach jej paliły się świece, i te z Jasiem czuwały. I tu Jaś spojrzał jej w twarz, ach tak była cudowną, tak była piękną i jakby tylko chciała przemówić. Nawet jakby nie spała. Jakby tylko z żartów przymrużyła oczy i ścisnęła usta, które może natychmiast otworzyć, skoro się jej spodoba. Jasiowi zdawało się, jakoby ją widział na łożu z liści i mchu w wypróchniałym dębie. Łóżko z liści i mchu kiedyś jej posłał a ona z niego uciekła. To łożko, na którem obecnie leży, posłał on także, lecz z tego ani się ruszyła.

Tu Jaś zapytał jej cieniu: — Kasiu, pocóżeś mnie teraz opuściła? Lecz ani Kasia ani jej cień nie odpowiadały. Kasia tylko się uśmiechała. I Jaś skarżył się: — Tyś mię teraz porzuciła. Lecz martwa Kasia ani na jego pytania ani na jego skargi nic nie odpowiadała, uśmiechała się tylko. Dreszcz śmiertelny przeszył Jasia.

I znowu spojrzał na pięknego trupka i zapytał:—Czy tobie tak się dobrze śpi na bogatem łóżku, na jedwabnej pościeli, żeś tak pośpiesznie opuściła moje łóżko z mchu i liści?

Myślał Jaś, że powinien ją wziąć z sobą i odnieść na łóżko z mchu i liści, że się na niem

obudzi, że powstanie.... I sądził, że daleko lepiej będzie pójść do wypróchniałego dębu i wziąć stamtąd liści i mchu i podesłać tem, możeby też przyszła do siebie. Ale na to i na owo postanowienie, Kasia zachowywała się jednako, jednakowo się uśmiechała, jakby chciała powiedzieć: — O wszystko będę spokojna, co uczynisz; jakby chciała przemówić: — Niemądry, o mnie się już postarano, nic mi nie potrzeba.

Ta niemówność uporczywa Kasi sprawiła, że się odwrócił i rzekł do siebie, że się jej więcej nie będzie pytał. Nie pytał się o nic, wziął do rąk skrzypce, oglądał je uważnie, czy nie znajdzie w nich właśnie tego, co mówiło tak ostremi ranami, aż uśmierciło Kasię? Wziął na próbę smyczek do ręki i łagodnie wodził po strunach. Tylko tak jakby je głaskał, aby znowu nie wyrzekły śmierci, jeno tak, jakby przegrywał, jeno tak, jak onegdaj Kasia, gdy wieczorem przyszła do okna, patrząc na gwiazdy, półszeptem i półgłosem śpiewała: „Osierociało dziecię.“

Jaś także zbliżył się do otwartego okna, także patrzał na niebo, zupełnie tak, jak onegdaj Kasia, kiedy jeszcze mogła patrzeć i struny jego dźwięczały po cichu: „Osierociało dziecię.“ Czy słyszała go Kasia, jak wówczas on ją słyszał? Szedł do niej znowu się popatrzeć a ona również uśmiechała się jak dawniej i jakby mówiła: „Ja to wiem, ale cóż z tego?“ Tak lekceważyła wszelkie jego pytania i myśli, że zmęczywszy się, musiał odpocząć.

Gładził jej włosy jak ongi u potoku pod wierzbami, gdy im kukułka zakukała: i Kasia wdzięcznie się uśmiechała, i jakby chciała powiedzieć: „Masz miękką rękę.“ I pocałował ją w oczy na których już dziś nie perliły się łzy, i w usta ją pocałował, lecz pocałunki już ostygły. W niczem nie sprzeciwiała mu się Kasia, na wszystko uśmiechała się i jakby mówiła: „O wszystko jestem spokojna, co uczynisz.“

Uśmiechała się, czy to Jaś cokolwiek robił, czy coś prawił, czy się pytał, czy też narzekał, na wszystko miała tylko uśmiech.

Wziął znowu do rąk skrzypce i mówił zwróciwszy się z niemi do Kasi: „Zionęło kiedyś z nich życie, teraz z nich wieje śmierć. Kasiu, wabiły cię kiedyś, dziś cię zabiły.“ I Kasia ciągle się uśmiechała.

I uśmiechała się jeszcze, kiedy przynieśli trumnę, i kiedy ją do niej położono, i postawiono wśród kwiatów. Uśmiechała się, gdy przyszli śpiewacy i publiczność kiedyś jej znajoma, dla oddania ostatniej przysługi, i kiedy nad nią śpiewano pieśni pogrzebowe. Uśmiechała się kiedy przyszli księża i odmawiali modlitwy takim głosem, jakby już sypały się bryły ziemi na trumnę. Uśmiechała się jeszcze kiedy kładziono wieko na trumnę, i kiedy wieko to zaczęło już ją przykrywać, i kiedy w ostatnim blasku już przebijała wieczna ciemność zamiast światła. Wieko zakryło jej twarz i zakryło jej uśmiech. Jaś widział ją w swej duszy, jak uśmiecha się dalej i w trumnie i na karawanie, na który ją kładziono.

Tu kiedy zobaczył, jak konie z nią ruszyły, byłby najchętniej je wyprzągł i Kasię sam pociągnął aż na cmentarz. Teraz zdawało się mu nieprzyzwoitością że ją konie wiozły, jak wtedy było nieprzyzwoitością, kiedy ludzie ją wieźli. Ludzie postępowali za trumną, i on między nimi. Ludzi było niezliczone mnóstwo i Jaś był ich cząstką; teraz czuł, że ich wiele. Sam gdyby mógł Kasię zanieść, sam, chciałby, bez zbytecznych świadków oddać się swej boleści. W tłumie — boleść nie ma swych praw. Życzyłoby się sobie inaczej, lecz trzeba uledz tłumowi, zwyczajowi.

To prędko spostrzegł. Od bram miejskich dużo wróciło, a gdy ziemia święta zaczęła padać na trumnę, został on tylko sam i kilku grabarzy. I grabarze odeszli i Jaś pozostał sam. I czuł Jaś, że jakoby dopiero teraz mógł swobodnie z Kasią mówić, jakoby teraz mógł rozważać swą boleść i jakoby dopiero w tej boleści był sam sobą.

Stał długo nad grobem i przychodził tam kilka dni, żywy to pomnik. Wieczorem odwiedzał dawne mieszkanie Kasi i zaglądał do okien, które były dotąd otwarte; lecz przez okna nikt nie patrzał, ani na ulicę, ani na niebo, ani na gwiazdy.

Wszystko, co miał zrobić, zrobił Jaś; zostawił Pragę, kierując się ku domowi. Jednego wieczoru przyszedł na podgórze, pod niem srebrzyła się rzeka, a na niem szumiał na skraju lasu wypróchniały dąb...

VII.

W dębowem drzewie zastał jeszcze usłane łóżko z liści i mchu. Położył się na niem, i był zupełnie samotny. Już ani myśli jego nie miały podstawy, gruntu; zaczął do wszystkiego uśmiechać się jak Kasia.

Był nadzwyczaj osłabiony i pomimo że to był letni ciepły wieczór, zdawało mu się, że jest zima.

Ptaki już nie śpiewały tym pełnym głosem, tym dźwięcznym świergotem jak ongi; tylko chwilami odzywał się ich głos, jakby chciały przypomnieć, że jeszcze są tutaj. Kiedy wziął Jaś skrzypce do rąk, zdawało mu się, że te skrzypce przedźwięczały, jak te ptaki. Co im chciał rzeknąć to już powiedział; swoje pląsy w nich wypląsał, swoje żale już w nich wywnętrzył; nie wiedział, co z niemi począć. Były w nich tylko dźwięki, pieśni już się skończyły.

Rzeka szumiała jak kiedyś a nad sąsiednią wioską, jego rodzinnem gniazdem, unosił się już sen. Ten sen dotarł do wypróchniałego dębu, jakoby szukając Jasia.

Widać tego snu pragnął tylko dąb, Jaś mu się nie poddał. Wtedy zaczął przypominać, rozważać i pytać się, ażali wszystko to, co stało się, musi tak pozostać, i czyby nie dało się tego powrócić. Wynioskował, że tego wymagała konieczność, że to już nieodwołalne. Zawsze się jednak uśmiechała Kasia i uśmiecha się jeszcze w ziemi.

I było dziwno, że on i Kasia, którzy wzrośli jako na jednej gałązce, tak oddalili się od siebie, że jedno drugiego ani zobaczyć ani dotknąć nie może. Byli jak dwie góry wznoszące się obok siebie: do połowy są jakby zrosłe, a od połowy ich wierzchołki wystrzelają oddzielnie i nigdy się nie spotkają. Czasami tylko w burzliwych nocach, kiedy błyskawica przerzyna czarne chmury, spojrzą na siebie i znów długo... długo czekają sposobnej chwili. I on posłał błyskawicę na Kasię, lecz ją uśmiercił.

I smutno mu było w wypróchniałym dębie, może dla tego, że spoczywał na owem łożu, które tak nieszczęśliwie zaczęło być łożem. Położył się pod drzewo, na to miejsce, gdzie z Kasią pochował swą matkę, mianowicie: gałązkę, witki i macierzankę; z których zrobili jego matkę. Na tej mogile było mu swobodniej, lepiej.

Zdawało mu się, że w koło siebie widzi i słyszy wszystko, co tu widział i słyszał wtedy, kiedy pasał tutaj owce. Jak gdyby widział tę małą Kasię, która przy towarzystwie jego skrzypiec śpiewała „gloria“ i te płacze, że ją od siebie odpędza i że jest sierotą.

I zaczął uśmiechać tak, jak widział uśmiechającą się Kasię.

Na to zakukała kukawka, głos jej był osamotniały w tym lesie, w którym wszystko przycichło, głos jej był oznajmieniem osamotnienia, jakby zwiastowała smutek.

— Nie masz już komu kukać, mówił Jaś i uśmiechał się.

I wił się w koło dębu niedoperz, jakby za czem gonił, i Jaś do niego się uśmiechnął i powiedział: „Szukaj, bratku, szukaj.“ I spostrzegł, że jest dwóch niedoperzów, widział' że się spotkali i w drzewie odezwał się pisk młodych niedoperzy. I na to rzekł Jaś: — Jakto jest u niedoperzów? I dodał jeszcze: Ja jestem wypróchniały dąb.

Rozejrzał się w koło siebie, przyglądał się krajobrazowi i widział na dole rzekę, w której wodach przeglądał się księżyc blady, nad sobą widział sklepienie niebieskie i migocące się gwiazdy. Na tych gwiazdach zatrzymał wzrok i patrzał w tę stronę, w którę Kasia patrzała, i półgłosem zaczął nucić różne piosenki. Podgórze i życie na niem w myślach jego nabierały życia, zaczęły się poruszać, jak błędne ogniki w nocy — piosenki to sprawiły.

I rzekł do siebie: — Co to warto, gdy przyjdzie jesień, ptastwo stąd odleci.

I uczuł zimę. Obejrzał się znowu na łóżko, będące w drzewie, z liści i mchu, wzruszył ramionami i rzekł: — Co z tobą zrobić?

I wstał i zgrabił mech i liście z połowy łóżka. — Uśmiechaj się także, szyderczo przemówił i rozniecił w niem ogień. Było mu zimno i ogrzewał się, i uśmiechał się i mówił, jak mu wesoło, że się rozgrzewa na Kasinem łóżku. I znosił więcej paliwa i przykładał, aż z tego utworzył się pokaźny stos, i płonęło to wszystko i uśmiechało się, jak pragnął. I uśmiechał się także. I było mu jeszcze weselej; od stosu zatlił się stary wypróchniały dąb i płonął jak olbrzymi ognisty słup, na wszystkie strony miotając złote iskry. Noc oświetliła się, dym z ognistemi językami wzbijał się ku obłokom, i Jaś czuł się jeszcze weselszym, mniemając, że się dziś do niego uśmiecha wszystko, świat cały.

Wziął jeszcze raz skrzypce, i jakby zebrawszy cały swój żywot w jedną wiązkę, począł ją skrzypcami rozrzucać.

Widok był wspaniały. Wypróchniały dąb gorzał i wybuchał iskrami i Jaś jak król zni-

szczenia, grał w tem strasznem świetle. Grał i naśladował wszystkie ptaki, których już tu nie było. Grał pięknie jak wtedy, nim Kasia zemdlała, i Jaś się uśmiechał.

I we wsi zabrzmiał dzwon, z wieży owego kościoła, w którym grywał z Kasią; dzwon zabrzmiał na trwogę...

Kiedy ludzie ze wsi zbiegli się na podgórze, grał jeszcze Jaś w dębie, i stało się jak w pieśni, gdzie pali się lipa a iskry jej padają na dziewczynę pod nią leżącą; tylko że tutaj palił się dąb i w nim siedział Jaś.

I gdy ludzie zaczęli napełniać podgórze, wypróchniały dąb z straszliwym łoskotem powalił się na ziemię i w tym upadku zamilkła pieśń Jasia. Ludzie widzieli, jaki koniec bierze drzewo i Jaś, i w przestrachu całe podgórze zgromadzonych ludzi wydało okrzyk grozy.

Rodzina niedoperzów latała nad zgliszczem. I zgorzało wszystko, zgasło wszystko, umilkło wszystko, dwa żywoty ludzkie zamarły, i na twarzy śmierci skamieniał uśmiech...

Wypróchniały dąb, Kasi łoże, Jaś, skrzypce—z wszystkiego tego pozostał tylko popiół.

NASZE STOWARZYSZENIA.

I.

(dalszy ciąg).

Że ruch na polu stowarzyszeń i potrzeba pomocy wzajemnej nie jest wymysłem doktrynerów, lecz ma praktyczny, życiowy grunt pod sobą, przekonać o tem mogą każdego niewiernego Tomasza cyfry następujące: W r. 1853, późniejszych danych nie mamy pod ręką, na 908,630 rodzin w Belgii, pośród 3,830,000 mieszkańców było: 89,630 w stanie mniej więcej zamożnym, 373,000 w położeniu mniej lub więcej kłopotliwem a 446,000 rodzin, t. j. blisko połowa — w nędzy [1]). Wymowne te liczby dać mogą dużo do myślenia i wykazują wyraźnie, że sprawa pomocy wzajemnej, jest sprawą całego społeczeństwa, ustrój którego dzisiejszy jest mniej lub więcej zbliżony do owego belgijskiego społecznego układu.

Wielu może z czytelników zarzuci mi, że przez zbyt zadymione, lub wprost fałszywe okulary patrzę na dzisiejsze stosunki społeczne... Nad wszystkimi to jednak owymi apatycznymi optymistami chciałbym raz na zawsze zawiesić szablisko Damoklesa, które byłoby dla nich wiecznie widocznem memento. Co bowiem nie jest prawdziwem dzisiaj — to może się stać jutro faktem spełnionym, a takie niespodzianki spotykają zwykle maruderów. Na wszelkie zmiany, a szczególniej takie które się nieuchronnie wiążą z pewnym stanem kultury i których wyminąć niepodobna, powinniśmy być z góry przygotowani, jeżeli chorobę ową mamy odbyć z pewną szansą wyzdrowienia. Tak zwana kwestya „proletaryatu" jest chorobą, którą przechodzą europejskie społeczeństwa i która odbywa swój spacer po Europie z zachodu na wschód, podobna do owej niewiasty, co „czołem przenosi białowiezkie drzewa, a w ręku chustą skrwawioną powiewa — i kędy stąpa świeży grób wyrasta." Powinniśmy się uzbroić w odpowiednie środki hygieniczno-medyczne, ażeby przyjąć godnie tę panią. Zapowiadamy tylko, że kwarantanna i zamknięcie granic nic nie pomoże.....

Zresztą po co sięgać tak daleko i po co przywoływać nowe lub stara widma z Zachodu; czyżby i u nas nie dały się one odszukać. Wszakże nie tak dawno mieliśmy u siebie proletaryat wiejski w ludności pańszczyźnianej, w Galicyi i dziś nawet położenie wiejskiego ludu w obec gnębiącej go lichwy jest nie do zazdrości, a położenie ludności roboczej i rzemieślniczej, jakkolwiek nie przedstawia jeszcze tak jaskrawych faktów jak gdzieindziej, to przecież nie może być nazwane zadawalniającem i wymaga dziś już środków zaradczych, jeżeli złe nie ma urosnąć do niebywałych rozmiarów.

Nie jesteśmy więc tak idealnie doskonali, jakby się to nam zdawać mogło kochany czytelniku — a nawet idąc jeszcze dalej — każden z nas mający pretensye należeć nie do stanu czwartego, lecz do trzeciego, czuje także przykre bardzo niedobory w kieszeni i radby bardzo napełnić je czemkolwiek. Stoicyzm bowiem i oszczędność, nie jest jeszcze radykalnem i jedynem lekarstwem — i stowarzyszenia nam w żadnym razie nie zastąpi.

Sprawa więc stowarzyszeń i wzajemnej pomocy interesować powinna wszystkich ludzi, którzy nie są bogaczami, jakkolwiek związaną jest ściślej z tak zwaną kwestyą roboczą. W ludności roboczej znalazła ona tylko najliczniejszych zwolenników, praktyczny, życiowy grunt pod nogami i na nim się rozwinęła.... Na tym więc gruncie i my ją oglądać będziemy.

Anglia jest nie tylko ojczyzną wynalazku, który zastosowany w drugiej połowie zeszłego wieku do produkcyi przemysłowej wprowadził w niej nadzwyczaj doniosłe zmiany, oddziaływające na sam ustrój społeczny, lecz jednocześnie i krajem, który zastosowanie machiny parowej, zastępującej ręce i głowę ludzką, doprowadził do niepraktykowanych dotąd rozmiarów. Najpierw więc doświadczyła ona na sobie wszystkich dobrych i złych następstw tej zmiany.

Z początku, za czasów kiedy jeszcze Adam Smith pisał swe studya nad bogactwem narodów, przemysł Anglii był w całym blasku, jaki otacza zwykle każde wschodzące słońce... Na jasnem jednak niebie wkrótce pojawiły się ciemne chmurki i czarne chmury — handlowe i przemysłowe kryzysy, będące następstwem nienaturalnego i przesadnego rozwoju przemysłu, wraz z powiększeniem ludności roboczej zrobiły położenie robotnika bardzo niewygodnem i chwiejnem. Zarobek nie tylko że zależał od nader często zmieniającego się stosunku popytu i podaży, lecz był niezbyt zadawalniającym. To dało powód do pomysłów mających na celu obmyślenie środków zaradczych. Postanowiono się uciec do wypróbowanej już potęgi pomocy wzajemnej. I przedtem bowiem w Anglii istniały liczne „towarzystwa przyjacielskie" *friendly-societies*, które dawały członkom swoim pomoc w razie choroby, drobne pożyczki i ubezpieczały ich życie... Stowarzyszeń takich w r. 1863, według raportów urzędowych było 20,000, do których należało przeszło 6 milionów członków, a zbiorowy kapitał wynosił 625 mil. fr. [1])

W celu jednak specyalnym postanowiono pozawiązywać osobne stowarzyszenia, których celem miało być przez utworzenie wspólnych kas wspierać bezrobocia (strikes). Stowarzyszenia te łączyły się z sobą w celu pomocy wzajemnej, tworząc tym sposobem rozległy system kółek opartych na wzajemności. Takich *trades unions*, liczono w Anglii przed niewielu laty 2,000. Miały wtedy 600,000 członków i 300,000 funt. szterl. kapitału [2]).

Na takim to, dobrze już i oddawna uprawianym gruncie rozwinęły się właściwe stowarzyszenia współdzielcze, *cooperative stores*, które liczniej zaczęły się tworzyć dopiero po znanym ruchu 1848 r. Odróżniały się zaś tem od poprzednich, że podczas gdy tamte były pewnego rodzaju asekuracyjno-dobroczynnemi instytucyami, te ostatnie śmiało starały się zastosować zbiorową potęgę w zakresie handlu i przemysłu.

Myśl zastosowania pracy zbiorowej, połączonej w stowarzyszenie tkwiła już w pomysłach i planach Roberta Owena i po rozbiciu systemu, który przez pewien czas zwracał powszechną uwagę ocalała, ażeby wystąpić na nowo w formie właściwej. Po roku 1848 utworzyło się nawet w Anglii towarzystwo „do popierania stowarzyszeń spółdzielczych," pod przewodnictwem prof. Maurice, a w grudniu r. 1854, wydało ono nawet z siebie osobne kollegium dla robotników, w którem mieli się kształcić przywódcy całego ruchu.

Pod wpływem tych usiłowań zaczęły się tworzyć stowarzyszenia oparte na wzajemnej pomocy, największa liczba których należała do stowarzyszeń spożywczych, połączonych zwykle z niektóremi gałęziami przemysłu. Takich stowarzyszeń w r. 1863 było 250 [3]).

Członkowie trades-unions przekonali się również, że obrali zbyt jednostronną działalność i niektóre z nich zamiast urządzać bezrobocia i prowadzić wojnę z przedsiebiorcami, postanowiły sprawę załatwić w sposób właściwszy i skuteczniejszy t. j. samym zająć ich miejsce. Jako kapitały zakładowe posłużyły kasy towarzystw. W taki sposób założonych stowarzyszeń produkcyjnych było w r. 1854—35, w r. zaś 1857 — 50 [4]).

Taki to był początek tej sprawy w Anglii.

We Francyi ruch na tem polu przybrał cechy nieco odmienne. O ile powiem Anglicy opierać się przywykli na samopomocy, o tyle Francuzi na działalności państwowej. W tym duchu działał rząd rewolucyjny z r. 1848. Otworzywszy kredyt stowarzyszeniom do wysokości 3 milionów fr., z której to summy zo-

---

[1]) Schulze Delitzsch „Die arbeitenden Klassen" str. 45.

[1]) H. Baudrillart „La liberté du travail." str. 216.
[2]) Ibid — 214.
[3]) Schulze-Delitzsch "Die arbeitenden klassen — 69.
[4]) „Die arbeitenden Klassen" 71.

stało wydane półtrzecia miliona 56-u stowarzyszeniom. Obok powyższych powstało wtedy i wiele innych, ruch jednak zbyt był gorączkowy i nieopatrzny, i dla tego w r. 1852 z wielu pośpiesznie założonych stowarzyszeń pozostało zaledwie 100, a i z tych wiele po zamachu stanu zostało zamkniętych. Bądź co bądź jednak w r. 1854 w samym Paryżu było 31 stowarzyszeń produkcyjnych i blisko drugie tyle na prowincyi [1]). Widzimy więc że ruch nie przeszedł bezpożytecznie. W Anglii i Francyi wyraźnie się zarysowały dwa sposoby zawiązywania stowarzyszeń i dwa odpowiednie stronnictwa. W Anglii liczono wyłącznie na pomoc własną, we Francyi przeważnie na pomoc rządową. Dwa stronnictwa, które się uformowały jako przedstawiciele dwóch tych metod postępowania prowadziły z sobą i prowadzą jeszcze zaciętą walkę pod dogmatycznemi sztandarami, na których jedno wypisało pomoc własną, a drugie pomoc państwową. Sądzimy jednak, że na polu zasad walka to niewłaściwa, gdyż jedyną tu wskazówką być mogą potrzeby zdrowego, organicznego, społecznego rozwoju.

Potrzeby te przedewszystkiem, i to jedyna zasada bezwzględna. Środki zaś mogą być rozmaite. Wypada tylko nadmienić, że zwolennicy samopomocy więcej się zbliżali do zdrowych, racyonalnych wymagań, aniżeli gwałtowni reformatorowie z góry. Wszelka praca zaczynana u podstaw i prowadzona własnemi rękami interesowanych jest trwalszą, że jednak i rząd może przeprowadzać pożyteczne reformy, o tem także teoretycznie wątpić nie można.

W Niemczech stosunki ekonomiczne później zaczęły wchodzić na drogę zmian i reform. Czas jednak i tu zrobił swoje, a w r. 1848 widzimy znaczny ruch i krzątanie się około zakładania stowarzyszeń.

Ponieważ jednak liczba samych rzemieślników, zagrożonych konkurencyą fabryczną była bardzo znaczną, więc na reformatorską arenę wystąpiły dwa stronnictwa: rzemieślników i robotników żyjących z zarobku. Pierwsze stronnictwo pragnęło powrócić do starych ograniczeń, które zapewniały rzemiosłom stanowisko do pewnego stopnia uprzywilejowane, drugie pragnęło polepszyć położenie robotników na zasadzie własnej pomocy.

Pierwsze uzyskało odpowiednią prostą „Ustawę rzemiosł“ z 2 stycznia 1849 r., drugie zaś pragnęło polepszyć położenie klas pracujących przez stworzenie całego systemu biór, przy pomocy których robotnicy otrzymywali by pracę, i któreby pobierały pewien procent od zarobku na fundusz wspólny, mający z czasem posłużyć do zakładania różnych banków, stowarzyszeń etc...

O ile jednak usiłowania pierwszego stronnictwa tchnęły wstecznictwem, nie bacząc na to, że dzień wczorajszy nigdy nie będzie jutrzejszym, o tyle znowu projektom drugiego brakowało praktycznej podstawy. Były jednak obustronne dobre chęci i obustronne wspólne potrzeby, brakowało tylko punktu wyjścia, impulsu, programu, któryby połączył te rozstrzelone dążenia i zaprzągł je do wspólnej pracy około ogólnego dobra...

[1]) Ibid—70.

Na szczęście Niemcy znalazły człowieka, który potrafił wyprowadzić chwiejne i nieświadome stronnictwa na grunt praktyczny, dać im program i zająć się jego wykonaniem. Tym człowiekiem był Schulze-Delitzsch mieszkaniec miasta Delitzsch w Saksonii, poseł do pruskiego zgromadzenia narodowego z r. 1848 i przewodniczący w komisyi wyznaczonej do zbadania sprawy roboczej.

Schulze-Delitzsch postanowił oprzeć cały ruch za własnej pomocy stowarzyszonych i dać mu praktyczną podstawę. W tym celu projektował zakładanie obok stowarzyszeń spożywczych przedewszystkiem zaliczkowych i spółek magazynowych, jako najbardziej odpowiadających potrzebom drobnego przemysłu, jaki jeszcze był poważnie reprezentowany. Za najwyższy dopiero szczebel całego ruchu uważał stowarzyszenia produkcyjne. Dzielny ten człowiek nie ograniczył się jednak na zakreśleniu programu, lecz sam bezpośrednio zajął się jego wykonaniem. W tym celu rozciągnął nadzór i opiekę osobistą nad wszystkiemi stowarzyszeniami, które powstawały najczęściej według jego własnych wskazówek. Następnie został naczelnikiem centralnego bióra wszystkich stowarzyszeń które powstały według jego programu, wydał kilka broszur i od r. 1859 wydaje rocznik (Jahresbericht) poświęcony sprawie stowarzyszeń niemieckich. Mała książeczka z r. 1859 urosła dziś do wielkiego foliału.....

Pracy niezmordowanej Schulzego-Delitzsch niemieckie stowarzyszenia wiele bardzo zawdzięczają. Trudno znaleść człowieka któryby tak wytrwale i systematycznie opiekował się całym ruchem, któryby prawie go stworzył. Rezultaty nie zawiodły jego oczekiwań, a w r. 1863 było już w Niemczech 1000 stowarzyszeń Schulzego-Delitzsch, pomiędzy któremi: 600 kas zaliczkowych, 200 stowarzyszeń magazynowych i do zakupu surowych materyałów, 100 spożywczych, 15 — 20 produkcyjnych i blizko 100 z charakterem angielskich „friendly societiesi francuskich „Societes des secours mutueles“ [1]).

Nie możemy czytelnikom naszym przytoczyć najświeższych danych o stanie stowarzyszeń w Anglii i Francyi. Niewątpliwie jednak sprawa cała rozwija się i urasta do odpowiednich rozmiarów. Z krótkiej tylko wzmianki w roczniku Schulzego-Delitzsch za r. 1871 widzimy, że stowarzyszeń spółdzielczych zapisanych było w Anglii w r. 1870 — 1375 [2]). Cyfra to bardzo poważna.

W Niemczech stowarzyszenia rozwijają się ze zdumiewającą szybkością, co dowodzi jak bardzo były na czasie.

Według rocznika za r. 1870 w r. 1859 było wszystkich stowarzyszeń Schulzego-Delitzsch w Niemczech do 3,000, w r. 1870 do 3,200, w r. 1871 według osobnego rocznika [3]) do 3,500, w roku zaś 1874 było ich 4,383, pomiędzy któremi: Kas zaliczkowych 2,639, stowarzyszeń rzemieślniczych 600, spożywczych 1,089, budowlanych 55. Liczba członków 1,350,000; cyfra operacyj 400 milionów marek.

[1]) „Die arbeitenden Klassen“ — 120.
[2]) Jahresbericht für 1871. Leipzig, 1872.
[3]) Ibid.

My dopiero stawiamy pierwsze niemowlęce kroki na polu stowarzyszeń opartych na wzajemnej pomocy. Luźne jednak objawy niezdołały powiązać się w jakąś całość, którąby można nazwać jakimś ruchem. Brak nam znajomości ekonomiki, brak odpowiedniej inicyatywy, brak zresztą wielu bardzo rzeczy do rozbudzenia żywszej działalności na tem polu, a jednak leżeć ono odłogiem nie powinno. Rozbudzający się nasz przemysł postawi klasy pracujące a więc rzemieślników i robotników w takim samym położeniu w jakim znaleźli się ich koledzy na zachodzie, a głównie w Niemczech w r. 1848. Nie powinniśmy się więc pozwolić ubiedz okolicznościom i korzystać z doświadczenia nabytego przez sąsiadów, ażeby w ten sposób powetować, choć w części uszczerbki poniesione przez nas w nierównej z niemi ekonomicznej walce o byt. Szczególniej klasy nasze rzemieślnicze potrzebują obok oświaty odpowiednich stowarzyszeń. Nieobojętnemi zresztą powinny być one i dla ogółu pracujących średnio-zamożnych jednostek.

Ogólny nasz inwentarz pod tym względem jest następujący: 3 stowarzyszenia spożywcze (Merkury, Zgoda i Oszczędność); 6 spółek magazynowych i do zakupu surowych materyałów (stolarzy, do zakupu skór, szewców, ślusarzy, krawców i do zakupu drzewa); 3 towarzystwa wkładowo-zaliczkowe (Grójeckie, Wiskickie i Kutnowskie); 503 kas pożyczkowych włościańskich; w Warszawie towarzystwo wzajemnego kredytu i kasa pożyczkowa przemysłowców warszawskich i parę kas pożyczkowych przy niektórych biórach; produkcyjnego stowarzyszenia nie mamy jeszcze żadnego.

Wszystkie prawie powyższe stowarzyszenia zawdzięczają swój początek inicyatywie jednostek pojmujących rozumnie swe własne i ogólne dobro; pragnęlibyśmy żeby jednostek takich było jak najwięcej i żeby przykład Schulzego-Delitzsch pobudzał ich do ciągłej i nieustannej działalności na wdzięcznej a spragnionej niwie naszego społeczeństwa.

JULIUSZ CEZAR
I JEGO DZIEŁO.

przez

W. Z.

tłómaczenie z rossyjskiego.

(dalszy ciąg).

Zamiast tego jednak, według słów samego Ramée: „Sulla pragnął społeczeństwo i państwo powrócić na drogę, z której je sprowadzono, na tę tradycyjną drogę z której zeszło pod naciskiem opozycyi, antagonizmu i walki stronniczej; chciał wolności, takiej jaką Rzym miał przed buntem Grakchów.“

Był to więc legitymizm z bardzo ciasnym poglądem na rzeczy; legitymizm ignorujący zupełnie to co przez lat 40 miało miejsce i w oczach którego jest możliwym powrót do

starego, ale tego starego, co same zgubiło się wyradzając z siebie opozycyą, antagonizm i walkę stronnictw. Z takim poglądem na rzeczy Sulla mógł przedsięwziąć środki nie przeciwko samemu złemu, ale przeciwko jego skutkom i objawom!

Dobroduszny Schlosser nie może wyjść z podziwu i zachwytu, patrząc na energiczną działalność Sulli. I rzeczywiście jeżeli energia jest synonimem młodości, działalność Sulli była bardzo energiczna. Ramée, który stara się zatrzeć historyczne znaczenie sławnych proskrypcyj Sulli, daje nacisk na to, że liczba ofiar była wtedy daleko mniejszą od liczby ofiar inkwizycyi, nocy Ś-go Bartłomieja, Dragonad, Termidorowej reakcyi, Białego terroryzmu i t. d. Ale czyż na cyfrach rzecz zależy? Dyktatura Cavagnaca, która do niczego nie doprowadziła, nawet stronnictwa w imię którego mordowała ludzi, wykazuje daleko więcej ofiar aniżeli dyktatura 93 roku, która ocaliła ojczyznę. Czy przyjmiemy podług Apiana sto tysięcy, czy według Waleriana Maksyma 4,700 jako ofiarę bezmyślnego okrucieństwa Sulli, z powodu, że były to ofiary niesione niemożliwemu już i zużytemu porządkowi rzeczy. Morderstwa i tracenie ludzi, środek potępiony przez społeczeństwo nawet wtedy, jeżeli są spełniane w imie zasad dobra ogólnego, tem bardziej są wstrętne jeżeli spełnia je martwa istota łudząc się, że utrzyma w sobie dogorywające życie, podobnie jak ten tyran, który dla ożywienia słabnących sił brał kąpiele z krwi ludzkiej. Oprócz więc proskrypcyj, Sulla nic nie mógł wymyślić dla utrwalenia porządku w społeczeństwie. Zamiast starać się o uchylenie przyczyn wyradzających socyalną walkę wewnętrzną, Sulla wzmocnił je tylko przez ślepą i upartą reakcyę. Najpotężniejszym środkiem przez niego użytym było usunięcie trybunału w znaczeniu narodowem. Ramée zachwyca się przenikliwością Sulli, który przewidział, że w rękach awanturników trybunat stanie się narzędziem cezaryzmu, nie zastanawiając się nad tem, że właśnie dla tego nie trzeba go było znosić, bo trybunat w rzeczy samej był reprezentacyą narodową, którą naród wywalczył sobie krwią własną i żadne reakcyjne działanie nie mogło pozbawić go tej instytucyi na dłuższy czas. Przemoc reakcyjna znosząc tryumwirat wzmacniała jeszcze nienawiść, i socyalny antagonizm robiła jeszcze więcej nieprzejednanym. Arystokratyczna partya głosiła zachowawcze zasady, jednocześnie zaś niszczyła instytucye przedstawiające interesa demokracyi, przez to więc przekonała lud o niemożliwości wszelkich kompromisów a podkopując dawne ustawy rzeczypospolitej, nie uchraniała jednak siebie od nienawiści ludu. Odbierając narodowi organ konstytucyjny dla wyjawiania potrzeb i żądań, tem samem zmuszano go do szukania środków rewolucyjnych dla protestowania, przez co porządek w zasadzie już musiał być zachwiany; bo czyż można było na chwilę nawet przypuszczać, że naród tak łatwo wyrzecze się instytucyi, z takim trudem wywalczonej. Tenże sam błąd popełniły wyższe klasy we Francyi 1850 roku, kiedy przez pozbawienie ludu ogólnego prawa wyborczego, zmusiły go szukać obrony chociażby pod władzą despoty. O ile bezsensownemi były reakcyjne działania Sulli, o tyle półśrodki przez niego przedsiębrane dla wytępienia klęsk społecznych, mniej jeszcze sensu miały. Partya w której był wodzem, uważała jako ideał władzę arystokracyi nad biednym ludem w Rzymie, i panowanie zdobywczego Rzymu nad zawojowaną Italią. Już *lex Licinia Mucia* 658 roku, wywołało wojnę związkową, która zmusiła arystokracyę do ustępstw. Italja jednak dobrze wiedziała o tem, czego może się spodziewać w razie zwycięztwa arystokracyi, to też pospolite ruszenie związkowych silnie popierało walkę ludu z Sullą. Gdyby dyktaturą owładnął zamiast Sulli człowiek z prawdziwie „wielkim i humanitarnym poglądem,“ którym Ramée tak błędnie obdarza Sullę, mógłby nie tylko ocalić rzeczpospolitę od upadku, ale może i cywilizacyą od podboju barbarzyńców, a to przez nadanie wolności prowincyom i niewolnikom.

Jest wielu historyków, dla których fakt spełniony stanowi najwyższe kryteryum, i którzy na tej podstawie śmią twierdzić jak Szlosser np., że Rzym i jego cywilizacya nie godziły się z wolnością i że trzeba było wpływu chrześciaństwa i ducha germańskiego (!) ażeby ją nadać; wyżej już daliśmy odpowiedź na sądy tego rodzaju.

Co do praw prowincyj, uważamy za bezzasadne przypuszczenie, ażeby w VII wieku uczciwy i patryotyczny obywatel, przejęty wyższemi uczuciami, nie mógł nadać tego, co w trzy później wieki, po strasznym upadku imperyi, nadał taki szaleniec jak Karakalla.

Krótki wzrok historyków panglosowego zakroju, pochodzi stąd że w swych rachunkach z przeszłością wykluczają tak ważny element jakim jest siła brutalna, do czego zresztą przyznają się uważając to sobie za chlubę. Ponieważ jednak znaczenie tej siły jest zbyt wielkie ażeby zupełnie ją pominąć można było, a zatem choć opuszczona w rachunku, wykazuje się raptem w rezultacie i wtedy Panglossi kłaniają się jej pokornie jako faktowi spełnionemu, chociażby przejawiła się nawet w najwięcej barbarzyńskiej postaci.

Po otrzymanem przez siebie zwycięztwie Sulla zbyt wiele miał do czynienia z demokratami rzymskiemi, ażeby jeszcze przez środki reakcyjne narażać się na powstania prowincyj. Dla tego więc był zmuszonym powstrzymywać reakcyjne zachcianki swych zauszników i zapewnił związkowych o nietykalności nadanych im praw. Chcąc zjednać sobie sprzymierzeńców do walki z ludem, Sulla ponadawał prowincyi wiele praw. Istota rzeczy jednak była i nadal taż sama, to jest Italia pozostała pod władzą polityczną Rzymu jako senatu, i ekonomiczną arystokracyi jako właścicieli ziemskich. Czyż w podobnych warunkach jakikolwiek związek był możliwym i czy można było nawet nań liczyć?

Nakoniec, po strasznych okrucieństwach i nikczemnej restauracyi, rzymski Kawaniak zrzekł się władzy.

Poprzednio już zrobiłem uwagę, że nie można mu uważać tego za zasługę, tem więcej, że ta abdykacya, była głównie nastąpiła w skutku przesytu i starganego zdrowia, przez rozpustę, którą dziś prawie za bajeczną uważamy. Nadając mu nazwę Cavagnaca mam na widoku tylko działalność polityczną dwóch dyktatorów. Sulla był człowiekiem niepospolitego rozumu, który może być, rozumiał dobrze niewystarczalność swoich półśrodków, ale był to potworny egoista, jakiemu podobni objawiają się tylko w chwilach upadku narodów.

Dla osobistej sławy, przez 4 lata prowadził wojnę z Mitrydatem, podczas kiedy Maryuszowcy w Rzymie tępili i niszczyli wszystko co miał najdroższego.

Z niezachwianą zimną krwią, słuchał o straceniu najlepszych przyjaciół, o usunięciu najdawniejszych praw jego partyi.

Powróciwszy dopiero do Italii nasycił żądzę zemsty i zamazawszy jak bądź szczerby, które potworzyły się w budowie państwa, spoczął na laurach. Pieszczoch losu, przesycony lubieżnik, sceptyk genialny, uważał władzę jako nudną i bezsensowną pracę.

Gdyby Tyberyusz mógł zrzec się panowania, nie obawiając się ażeby następca kazał go zabić, bez wątpienia także zdobyłby się na podobną wspaniałomyślność, nad którą unoszą się z podziwienia; toż samo gdyby Sulla widział możebność utrzymania się przy władzy, z pewnością nie ustępowałby jej nikomu. Nawyknięcie jednak do rzeczypospolitej było tak wpojone w naród, że cezaryzm jak grzyb nie łatwo mógł wyrosnąć.

Proskrypcye Sulli napełniły społeczeństwo strachem, tak, iż zdawało się, że lud zamarł na chwilę, a z nim razem i wrogie interesa kastowe. Że jednak nic nie zrobiono dla pogodzenia tych interesów, przeciwnie zaś nienawiść starannie podsycaną została, zaledwie zatem naród wyszedł z przerażenia, antagonizm kastowy obudził się z całą gwałtownością.

Z dewizą: après moi le deluge, Sulla schodząc ze sceny uległ prośbom Pompejusza i dopomógł Lepidowi przy wybraniu konsula. Chociaż odgadł w Lepidzie agitatora, żądnego władzy i niebezpiecznego dla stronnictwa w przyszłości, nie mógł jednak odmówić sobie przyjemności zabłyśnięcia przenikliwością i zgadzając się już na wyniesienie Lepida na konsulat, objawił Pompejuszowi swoje zdanie o Lepidzie.

Zaraz po śmierci Sulli, okazało się, że przenikliwość jego była zupełnie słuszną. Lepidus powstał przeciwko wszystkim jego rozporządzeniom.

Rola Maryusza była teraz łatwiejszą do odegrania, albowiem zniesienie trybunatu i tym podobne środki, przedsięwzięte przeciw ludowi, dawały wyborne dane do zyskania popularności. Ażeby odczepić się od Lepida, senat wysłał go jako prokonsula do Galii cizalpińskiej, ale Lepid uorganizowawszy siły wojskowe, zebrał około siebie wszystkich wygnanych przez Sullę, wszystkich malkontentów i poszedł na Rzym z hasłem przywrócenia trybunatu.

Dowództwo nad arystokracyą jak gdyby w sukcesyi po Sulli przeszło do Pompejusza, który też pobiwszy Lepida ocalił na jakiś czas restauracyjne dzieło Sulli. Arystokracya w krótkotrwałe panowanie otrzymała dwa godne siebie tryumfy, albowiem w Sertoryuszu

zamordowała pokrzywdzone i buntujące się prawa prowincyi, przez zwycięztwo zaś nad Spartakusem umocniła zachwiane przez niego „święte prawo niewolnictwa.“

Nie przez zwycięztwo jednak nad Sertorjuszem i Spartakiem należało ocalić rzeczpospolitą.

Od śmierci Sulli aż do farsalskiej bitwy, nastąpiły czasy walki, mającej się zakończyć upadkiem rzeczypospolitej, albowiem siła materyalna zapanowała nad ideą.

Optymiści nie przyznają, żeby to miało być zwycięztwo siły brutalnej przeciwnie, twierdzą nawet, że to był postęp duchowy, zwycięztwo ducha. Dla postępu potrzeba było, dowodzą oni, żeby rzeczpospolita upadła pociągając wraz z sobą i starą cywilizacyę.

Upadek więc rzeczypospolitej przypisują nie gwałtowi materyalnemu, ale tajemniczym losom, które prowadzą ludzkość do postępu. Studyując jednak ten okres walki przekonywamy się, że tłómaczenie podobne jest najzupełniej dowolnem i naciągniętem, na podobieństwo tych idyotycznych pocieszań, jakich nie szczędzą zwykle człowiekowi, którego spotkało nieszczęście niczem nie dające się wynagrodzić. Studya te przekonywają nas, że upadek rzeczypospolitej był skutkiem i następstwem pojedyńczych błędów, występków i słabości, które mogły być ale mogły i nie być, ale główny do niego powód dała przemoc, która zapanowała w skutek rozmaitych warunków i okoliczności, wcale nie noszących na sobie charakteru nieuniknionej fatalności.

Pompejusz nie miał zdolności do sztucznego podtrzymywania życia w tej poronionej organizacyi. Potrzeba na to było niemiłosiernej energii Sulli, któremu i tak jej po dwóch latach zabrakło zupełnie.

Potomność sądzi Pompejusza o tyle surowo, o ile namiętnie współcześni wynosili go pod obłoki. Mało jest ludzi którzyby za życia tyle sławy sobie zjednali, ale też i niewielu tak upadło w opinii historyi jak Pompejusz; do czego najwięcej przyczynił się nieszczęśliwy koniec jego karyery, albowiem na sądy ludzkie najwięcej zawsze wpływa fortunne lub niefortunne rozwiązanie działalności osób politycznych. Dla tego też wyroki potomnych nie zawsze są sprawiedliwe. Pompejusz miał z pewnością nie mniej wojennego talentu jak i inni bohaterowie, a i tej nawet sławy chcą go pozbawić. W innych okolicznościach, z pewnością utrzymałby w historyi zaszczytne miejsce obok Scypiona, Fabiusza, Papirusa, Marcella i innych, wielkich mężów starożytnego Rzymu, dziś stał się pośmiewiskiem historyi. W czasach wyrabiania się nowych losów, zwykły to los podobnych jemu ludzi. Bo i rzeczywiście, Pompejusz jest typem całego roju ludzi miernych, którym wypadki powierzyły do spełnienia dzieło, przechodzące ich zdolności i siły. Przekonany, że do niego należało ocalić społeczeństwo, uganiał się jednak za nagrodami, jak urzędniczyna biedny, jak najbrudniejszy egoista.

Idea dobra ogółu, do spełnienia której dążą wielcy działacze tak ich zwykle pochłania, że zespalają własny interes z dobrem ogółu, tryumf swoich zamiarów uważają za własny i oprócz celu przedsiębranego nic dla nich na świecie nie ma.

Miernostki przeciwnie, nie tracą ani na chwilę z oczu własnych osobistości i służąc społeczeństwu obliczają wiele też za to im zapłacą. Gotowi nawet ponosić ofiary, byle tylko te zostały sto razy wynagrodzonemi, w przeciwnym zaś wypadku wiecznie będą się żalić: na ludzkość, na współobywateli i na sprawę której służyli. W teoryi dowodzą równie dobrze jak kto inny, że zadarmo nic się nie dostaje, że każde zwycięztwo wymaga ofiar; jeżli jednak rzecz dotycze ich osobiście, z całym sceptycyzmem bezwstydu zaczynają przekonywać siebie i innych, że ponosić ofiary bez korzyści jest szaleństwem, że głową muru nie przebije i t. p. i dopóty będą lamentować, dopóki nie wynajdą sposobności zrobienia na ofierze dobrego interesu.

Za wzór podobnego rodzaju ludzi najlepiej posłużyć może Pompejusz. Bardzo był rad temu, że może ocalić społeczeństwo, ale pod warunkiem, ażeby go dobrze za to wynagrodzono. A ponieważ ocalenie ludzkości jest faktem pierwszorzędnej ważności, więc i nagroda dla niego powinna być nadzwyczajną. Uważał nawet, że ma najzupełniejsze prawo przyśpieszać sobie wypłatę pensyi i podwyższać ją od czasu do czasu. Było to trzymanie dwóch srok za ogony.

Jednocześnie bowiem musiał ochraniać społeczny porządek i kosztem tegoż porządku starać się o wzniesienie jak najwyżej swojej osoby. Ochraniać porządek przekazany przez Sullę było niepodobieństwem, albowiem była to martwa ruina pozornie tylko odrestaurowana, Pompejusz więc był zmuszony zmienić niektóre zbyt forsowne postanowienia Sulli, jak np. zniesienie trybunatu, którego przelanie w ręce senatorów było taką głupotą, że najmądrzejsi konserwatyści jak Cycero silnie przeciw niemu się opierali.

Jednocześnie Pompejusz przyczynił się do złamania Sertoryusza i Spartaka, czas więc było myśleć o wynagrodzeniu odpowiedniem dla niego.

Za nadto sumienny ażeby przedsiębrać cośkolwiek przeciwko państwu, nie myślał też o zaprowadzeniu imperii na zwaliskach rzeczypospolitej.

W samej rzeczy, nie miał on nic zdeterminowanego, czego miał właściwie od kraju żądać, za usługi oddawane; chciał żeby go kochano i szanowano, no, naturalnie i żeby go słuchano także, wszak po to zbawił ojczyznę. Podobne jednak pretensye były przeciwne republikańskim pojęciom, których ofiarą padł kiedyś prawdziwy zbawca Rzymu, Manliusz. Oprócz tego dążenie Pompejusza do czegoś nieokreślonego, do wyjątkowego stanowiska, obrażało arystokracyę, do ktorej w odrestaurowanym porządku rzeczy należała władza naczelna. Pompejusz więc miał starcie z tem stronnictwem i z tą organizacyą, którym służenie stanowiło jego potęgę i znaczenie.

Raz starłszy się z arystokracyą, powinien był albo ją zwalić w widokach osobistej władzy, na co był za nadto uczciwym i tchórzem, albo ustąpić z placu, do czego znów miał zbyt wiele egoizmu i drobiazgowości.

Zburzyć porządek państwowy i zaprowadzić monarchię była to rzecz straszna, albowiem pominąwszy arystokracyę, lud nawet był zanadto przywiązany do zasad i form republikańskich; szacunek dla prawa w ludzkości był jeszcze zbyt wielkim, ażeby kusić się o podobną sprawę. Na coś podobnego Pompejusz ryzykować się nie mógł, chociażby nawet w charakterze miał o wiele więcej przedsiębierczości ducha, bo na to może się odważyć tylko szubrawiec nie mający nic do stracenia, a za to wiele do zyskania. Pompejuszowi zaś i tak wcale dobrze się działo.

Co zaś do spoczęcia na laurach i zrzeczenia się roli, nie było to wcale w jego charakterze; egoizm nie zrzeka się dobrowolnie takich korzyści.

Głęboki rozdział pomiędzy arystokracyą i ludem wtedy rozszerzył się jeszcze bardziej. Odepchnięty przez senat i arystokracyą Pompejusz poszedł w przeciwną stronę, ku demokracyi, której pomoc doprowadziła go do celu na chwilę, wystarczającą nagrodę stanowiącego, to jest do prokonsulatu nad brzegami Śródziemnego morza i dowództwa w wojnie z Mitrydatem.

Za to jednak stanowczo pokłócił się z arystokracyą, która prowadziła walkę otwartą z stronnictwem ludowem.

Repressye Sulli nie były w możności na długo zażegnać tę walkę. W czasie kiedy Pompejusz odznaczał się w wojnie z Mitrydatem i z piratami, antagonizm kastowy wybuchnął w Rzymie z nową zaciętością. Odbudowany trybunat przez usta Servilia Rulla żądał nowych praw dla biednych mieszkańców. Cycero, jako głowa partyi arystokratycznej, postępował coraz nierozsądniej, opierając się całemi siłami jakiejkolwiek reformie ekonomicznej, podczas kiedy w społeczeństwie i w samej nawet arystokracyi wybuchnęły te fenomenalne objawy potworne, po których można było poznać do czego podobny opór bezmyślny przy starych przywilejach może doprowadzić. Objawem podobnym był szalony zamach Katyliny, dowodzący na co mogą się odważyć ludzie bezsumienni i straceni moralnie, jeżeli chaos wypadków sprzyjać ich zbrodni będzie.

W tymże czasie kiedy człowiek czerpiący całą śmiałość postępowania w niemożności wyjścia z ciężkich okoliczności, pokusił się o zagarnięcie władzy, Pompejusz ukazał się u bram Rzymu, w całej chwale świeżych zwycięztw i na czele oddanej mu armii.

Podług słów Cassiusa cały Rzym był przekonany, że Pompejusz wejdzie do miasta jako władca. Gdyby zamiarem jego było zwalić rzeczpospolitą i uzurpacya, postąpił był tak bez wahania. Pompejusz jednak o tem nigdy nie myślał. W tej chwili uzyskał wszystko czego kiedykolwiek pragnął. Kochali go i szanowali jako bohatera, świeżo zebrał nowy zapas wojennej sławy; do szczęścia brakowało mu tylko miłości i szacunku senatu, z którym nieprzyjemnie mu było żyć w ciągłej niezgodzie. Ażeby zjednać dla siebie senat, Pompejusz rozpuścił swoję armię. W czasach ówczesnego społeczeństwa był to czyn dowodzący największych cnót obywatelskich. Mógł wtargnąć do miasta, zniszczyć prawo i pochwycić władzę, nie zrobił tego. Cassius z po-

dziwieniem mówi o tem, nazywając czyn ten największem dziełem Pompejusza. Zapewne tak samo sądził i Pompejusz, rozliczając w myśli jakie procenty przyniesie mu ta ofiara dobrowolna, jaką nagrodę zyska podobna bezinteresowność. Senat jednak pamiętał złe i zamiast rozczulić się, zaczął kopać pod Pompejuszem dołki, z których najpierwszy przekonał o niewyleczalnej ślepocie arystokracyi. Pompejusz za pośrednictwem trybuna Flaviusa zaproponował rozdział gruntów pomiędzy swoich weteranów i najbiedniejszych obywateli. Senat pod przewodnictwem Katona i konsula Metella wściekle oparł się temu. Trybun aresztował konsula. Sprawa zdawała się przybierać zwrot stanowczy. Na miejscu Pompejusza Grakchus naprzykład byłby ocalił państwo, przemógłszy siłą opór senatu i przeprowadzenie ekonomicznej reformy bez osobistych celów. Pompejusz jednak nie miał najmniejszego wyobrażenia o ekonomicznych reformach i szanując istniejący porządek rzeczy zauważył, że całe prawo rolne nie warto tego, ażeby dlań poświęcać własne interesa. Zresztą cała ta sprawa o podziale ziemi była podniesioną tylko w celu podbudzenia senatu do jak najprędszego zaratyfikowania jego działań wojennych, widząc zaś, że środek ten mógł go za daleko zaprowadzić, cofnął żądanie. Położenie jednak Pompejusza było wcale nie do zazdrości. Z senatem się nie pogodził, naród zaś widząc ciągłe wahania się, poznał się na nim i nie chciał nadal służyć dla osobistych celów Pompejusza. Znalazł się więc po raz drugi w tem samem położeniu, teraz okoliczności spychały go ze sceny. Ażeby się na niej utrzymać schwytał pierwszą rzecz która mu popadła pod oczy. Była to ręka Juliusza Cezara. Był to zrujnowany odstępca arystokracyi, mający wiele związków z osobami wpływowemi a zatem mogącemi mu wyrobić zarząd jaką prowincyą. Dawało mu to kredyt, którego nadużywał do tego stopnia, że znalazł się nareszcie w położeniu bez wyjścia. Jeżeli jakakolwiek kasta, jak rzymska arystokracya w tamtym czasie, zaczyna umierać dla braku sił, zjawiają się wtedy na jej usługi najemni zbawiciele, zwykle ludzie sprzedajni, bez czci i sumienia. d. c. n.

MÓDLCIE SIĘ ZA NIĄ.

POWIASTKA

Eugeniusza Moret

tłómaczona z francuzkiego.

(dokończenie).

VI.

Jerzy opuścił mieszkanie na ulicy Notre-Dame-de-Lorette, porzucił Myszkę i jej otoczenie i znikł gdzieś.

W tydzień po opisanem spotkaniu przybył do Nizze, gdzie oczekiwała go hrabina de l' Ourmont.

— Ludwiko, wołał klęcząc przed młodą kobietą, jestem nędznikiem, człowiekiem zgubionym, zapomniałem o poczuciu honoru i szlachetności, ty mną pogardzasz...

I ten człowiek zdolny, ten człowiek niegdyś uwielbiany, liczony między gwiazdy owej epoki, dziś zdobył się tylko na łzy przed kobietą ukochaną, znajdującą go w takiem poniżeniu.

— Ale czegoż mię opuściłaś?

— Tak to prawda, moja w tem po części wina.

— Z tobą byłbym wielkim, szlachetnym, bez ciebie przepaść i ciemność.

— Wysłuchaj mej przeszłości a usprawiedliwisz moje postępowanie Jerzy... Jestem córką wyższego oficera cesarstwa, a ojciec mój nigdy nie chciał się przyłączyć do starszej lini Burbonów. Byłoby to opuścić chorągiew i popełnić podłość, lecz właśnie dla tego byliśmy biedni. W ostatnich chwilach ojciec, przewidując smutną przyszłość sieroty, nieraz oskarżał się o zbytni stoicyzm. Miał przyjaciela, towarzysza wypraw wojennych ogromnie bogatego. Mój zacny ojciec wezwał go i polecił opiekę nad jedyną córką. Podobałam się zacnemu starcowi i zapragnął mię poślubić. Chciałam opierać się temu, lecz widziałam, iż odmowa moja przyspieszyłaby śmierć najdroższej osoby, ten niepokój o przyszłość zabiłby ukochanego ojca, przystałam więc na ten związek.

— Jeden tylko kładę warunek, rzekł generał de l'Ourmont, pragnę, aby imię które wsławiłem, służyło mi i po śmierci, aby kobieta która je nosić będzie, szczyciła się niem całe życie i nigdy nie przyjęła innego.

I na to się zgodziłam, nikogo nie kochałam i nie myślałam, aby kiedy miłość owładnęła sercem zamierającem w dwudziestym roku życia. Ślub nasz odbył się wspaniale, a ojciec umarł szczęśliwy i spokojny. Ta przysięga to jedyna zapora do naszego połączenia. Po śmierci generała rodzina zmarłego wytoczyła mi proces o dobra hrabstwa de l'Ourmont i zostałam znów biedną, mając tylko tysiąc dwieście franków rocznego dochodu.

— Ależ ja mam talent, będę pracował! wykrzyknął Jerzy.

— Nie wątpię o twej miłości mój przyjacielu, ale Bóg sprawiedliwy słyszy przysięgi ludzi, ale wola zmarłego jest świętą...

— Cóż mam więc robić?

— Jerzy ja nie chcę, abyś powrócił do dawnego życia, pojedziemy do Paryża, gdyż tam jest pole pracy, ale pojedziemy razem. Będę ci wierną towarzyszką i przyjaciołką, a przez dawną miłość usłuchasz mych rad. Poświęcam życia całe, aby człowieka ukochanego powstrzymać na drodze prawej i stworzyć mu ognisko domowe.

Młody człowiek przykląkł przed hrabiną de l'Ourmont i w radosnym zachwycie zawołał:

— Niegdy jeszcze kobieta nie była tak czczoną i uwielbioną, jak ty nią będziesz Ludwiko!

VII.

W trzy miesiące potem Jerzy Franchy i hrabina de l'Ourmont zajęli skromne mieszkanie przy ulicy Vaugirard.

Szlachetne zadanie, zacne i święte posłannictwo przyjęła na siebie ta młoda, dzielna niewiasta.

Miłość już wygasła w jej sercu, człowiek który w marzeniach wywyższony nad tłumy przodował im na drodze prawdy i obowiązku, ukazał się przed nią poniżony z czołem pochylonem, które miał zdobić wieniec laurowy. Nie był to już olbrzym wyzywający do walki burze i huragany świata, nie był to już ów apostoł prawdy, miłości i świętych uczuć. — Mgła się rozproszyła, anioł zmalał, spadł na ziemię i zatracił swe niebiańskie skrzydła. Jerzy był jeszcze bardzo pięknym, lecz cóż znaczyła w oczach tej kobiety wzniosłej nieszczęściem, dojrzałej bolesnem doświadczeniem, wykształconej smutnem rozmyślaniem, cóż znaczyła zwyczajna piękność ziemska; geniusz nie jaśniał już we wzroku poety. Nie był to już poeta, wybraniec boży, posłannik nieba, pozostał tylko człowiek, nie dążący na wyżyny nadziemskie, ale błąkający się wśród dróżek i drożyn światowych, którego lada powiew wiatru strącić może z gościńca prawości. Jeśli były w nim żywioły dobrego, to są przyćmione i przygłuszone złem.

Biednej tej poniżonej duszy nie mogła już nazwać bratnią lecz z miłości wyrodziło się nowe uczucie w sercu zacnej kobiety; idealizowane pojęcie obowiązku.

— To moja wina, mówiła sobie, jeśli upadł, ja go podniosę. Musi być wielkim i szlachetnym, takim, jakim go śniłam w marzeniach minionych.

Nie wyznawała jednak nawet przed sobą, czego jeszcze pragnęła w głębi serca. O jakżeż byłaby szczęśliwą, Wielki Boże, gdyby kiedyś mogła zawołać: kocham go jeszcze!

Jerzy okazał się godnym tylu ofiar i poświęcenia, w jednym dniu stał się dawnym śmiałym, zdolnym pracownikiem.

Odzyskał wiarę w siebie samego, w miłość i sztukę. Pracował wieczory całe i noce obok Ludwiki, zachęcony jej spojrzeniem, nagrodzony uśmiechem.

Napisał już pierwszy akt historycznego dramatu, a Ludwika drżała z radości poznając dawnego poetę po tych myślach wzniosłych i dumnych.

— Patrz na mnie, mówił, a będę lepiej jeszcze pisać.

Jeśli pracował w nocy, Ludwika siadywała z nim razem, bez jej obecności, cóżby zrobił? Świetna gwiazda geniuszu była tylko odbiciem jej duszy; jeśli się uśmiechnęła, to wtedy rzucał słoneczny promień wśród ponurych pustych stepów myśli poety. Ona mu była natchnieniem i gwiazdą przewodnią.

VIII.

Pewnego wieczoru Jerzy chciał wyjść, Ludwika błagała go, aby pozostał; usłuchał jej pozostał, lecz nie pracował już tego wieczoru. Nazajutrz wydawał się tak znękanym, iż Ludwika pierwsza mu powiedziała:

— Wyjdź Jerzy.

Nie pytała go dokąd idzie i kiedy powróci. W wigiliją tego dnia Jerzy wyszedłszy na miasto spotkał kilku towarzyszy dawnego, hulaszczego życia, spotkał Myszkę w towarzystwie innych i oto dla czego zatęsknił za swobodą, a dom wydał mu się ponurym i jedno-

stajnym. Te wycieczki powtarzały się już każdego wieczoru. Ludwika raz odważyła się zrobić uwagę, lecz odpowiedział tak ostro, że biedna kobieta postanowiła milczeć i tłumiąc łzy czekała cierpliwie...

Jerzy teraz już pracował tylko dorywkami i powracał do domu bardzo późno. Pewnej nocy nie spał w domu i powrócił nazajutrz rano z spuszczoną głową, nie wiedząc jak usprawiedliwić tę swoję nieobecność. Ludwika ulitowała się nad nim i sama mu dopomagała do wytłómaczenia się. Spotrzegł wtedy, że i ona noc całą przepędziła bezsennie, a jej niegdyś śliczne oczy, zaczerwienione teraz świadczyły odługich godzinach łez. Rumieniec wstydu i żalu wystąpił mu na czoło, uścisnął serdecznie rękę hrabiny de l'Ourmont, ucałował ją w czoło i w rzewnych wyrazach błagał o przebaczenie, obiecując na przyszłość nigdy już nie zasmucić swej towarzyszki.

Wieczorem nie wyszedł i chciał pracować, lecz za chwilę musiał porzucić pióro i wyznać swą niemoc. Nazajutrz powrócił do zwykłego życia i przyszedł aż o północy. Ludwika zatrzymała zegar o parę godzin, nie chciała aby musiał się rumienić przed nią. Za kilka dni zapotrzebował pieniędzy. Ludwika oddała mu wszystko, tym razem przepędził na mieście cztery dni, a piątego powrócił pijany.

— To moja wina; powtarzała jeszcze ta zacna niewiasta, uważałam to zadanie za łatwiejsze, lecz Bóg widocznie chce mię doświadczyć.

Po tej hulance Jerzy zachorował a Ludwika pielęgnowało go z macierzyńską troskliwością, w chwilach przychodzącej przytomności poznawał swe winy i płakał jak dziecię.

Zaledwie jednak ozdrowiał wyszedł z domu, a tegoż samego dnia Ludwika zauważyła zniknięcie sakiewki z pieniędzmi. Nie śmiała oskarżać Jerzego, a ponieważ podejrzenie tylko na niego padało, ponieważ nikt więcej w domu nie bywał, postanowiła o tem zamilczeć.

Zresztą, jeżeli nawet popełnił to Jerzy, nie był winnym, bo ileż to razy powtarzała, że wszystkie ich dochody są wspólne.

Jerzy znów powrócił w stanie bezprzytomnego pijaństwa a Ludwika zapomniała o całym wypadku, rozradowana jego powrotem przysunąwszy krzesło do kominka usadziła go wygodnie. Wtem z palta wypadł jakiś czerwony papier, podniosła go i położyła na kominku, lękając się rozwinąć go, aby nie wyczytać jakiej strasznej tajemnicy. Jerzy spał, papier zaś zwinięty pociągał jej wzrok i podniecał ciekawość, parę razy przeszła po pokoju, aby zwyciężyć pokusę, nakoniec uległa i pochwyciła go drżącą ręką. Był to rewers z lombardu na zastawione srebrne nakrycia.

— Pije, rzekła, lecz jeszcze nie żebrze.

Zabrała się do czyszczenia i zeszywania ubrania swego towarzysza, ani jeden pieniądz nie zabrzęczał w kieszeniach.

— Nieszczęśliwy, zawołała, nie trzeba aby kradł, pobiegła do biurka wydobyć ostatnią sztukę złota z pieniędzy jakie wdowa generała de l'Ourmont zarobiła haftując i wsunęła mu do kieszeni.

Bóg doda mi sił, to zarobię więcej, jeśli taka jest Jego święta wola.

IX.

Jerzy i Ludwika nie mieszkali już na ulicy Vaugirard, lecz w nędznem poddaszu na ulicy Vieux-Colombier, a już i tu zabrakło chleba. Tysiąc dwieście franków rocznego dochodu już wydano; najpotrzebniejsze rzeczy były wyprzedane na wycieczki Jerzego, pozostawała więc wdowie generała de l'Ourmont praca, której te dzielna kobieta chwyciła się z całym zapałem.

Jerzy nigdy nie uskarżał się na smutne położenie w jakie wprowadził siebie i swą towarzyszkę; kiedy nędza dawała się czuć zbyt dotkliwie, wychodził na parę dni z domu, a powróciwszy o nic nie pytał. Nawet nie był świadomym swego występnego postępowania, gdyż ciągle się upijał.

Jeżeli czasami powracał przytomniejszy, to ujrzawszy tę piękną kobietę, niegdyś królowę salonów, wybladłą, z oczami zapadłemi, podchyloną nad mozolną pracą, uciekał z domu coprędzej, aby w gwarnem towarzystwie karczemnem przygłuszyć wyrzuty, budzącego się sumienia.

Przechodziły tygodnie i miesiące, Jerzy wciąż prowadził hulaszcze życie, a hrabina de l'Ourmont we dnie pracowała, nocami modliła się do Najwyższego, aby zesłał upamiętanie jej towarzyszowi.

Pewnego razu Jerzy nie pokazał się w domu cały tydzień. Ludwika wyczekiwała go niespokojnie po całych dniach i nocach.

Napróżno wyglądała przez szyby; napróżno nadsłuchiwała świstu wichru i odgłosu dzwonka u bramy; Jerzy nie wracał.

Ósmego dnia wieczorem już nie mogła zapanować nad swą niespokojnością, ubrała się, zarzuciła szal czarny na ramiona, wzięła kapelusz na głowę i wyszła. Przechodząc przez bramę zachwiała się i musiała aż wesprzeć o mur, tak była osłabiona.

Nędza, praca i boleść dokonywały swego dzieła.

— Pójdę go poszukać, mówiła, musi być blisko, raz mówił mi że nigdy nie opuszcza tej dzielnicy.

Była dziewiąta godzina wieczorem o jedenastej jeszcze przechadzała się po dzielnicy łacińskiej zaglądając przez okna do wszystkich szynków i kawiarń.

Gdyby się była zapytała pierwszego lepszego przechodnia o Jerzego Franchy, z pewnością by jej odpowiedział, bo czyż był w tej całej dzielnicy choć jeden mieszkaniec któryby nie znał Jerzego, tułającego się po ulicach, lub choć jeden włóczęga któryby z nim nie pił szklanki wódki.

Ale Ludwika pamięta, że jest córką szlachetnego rodu, wdową po generale de l'Ourmont, czyniła więc bardzo oględnie swe poszukiwania. Ledwie już mogła utrzymać się na nogach, często wypoczywając, zaszła aż na ulicę Harpe; tu dwóch młodych ludzi, idących przed nią, zatrzymali się przed szynkiem nędznej powierzchowności.

— Czy wejdziemy tu? zapytał pierwszy.

— Dobrze, Jerzy musi tu być, była odpowiedź drugiego.

Ludwika, usłyszawszy imię Jerzego, zarumieniła się gwałtownie; więc ten niegdyś uwielbiany poeta, był codziennym gościem tego miejsca? Przytulona do muru przeczekała chwilę, a nie ujrzawszy nikogo na ulicy ośmieliła się i drżąc ze wzruszenia i wstydu zajrzała przez szybę.

W zadymionej sali kilkunastu młodych mężczyzn i kilkanaście kobiet gwarno ucztowało. Jedna z lwic tego zebrania wyśpiewywała wybijając takt szklanką, inne hałaśliwie rozprawiały z młodemi ludzmi, pomiędzy którerni znajdował się i Jerzy. Co za straszny obraz dla hrabiny de l'Ourmont.

Młody poeta leżał na sofie paląc i popijając okowitę a błędne oczy wskazywały o zupełnej bezprzytomności.

Obok niego, wsparta na jego ramieniu, siedziała jakaś kobieta, w rozrzuconym bezładnie stroju, z obnażonemi ramionami, z wyzywającem wejrzeniem i zuchwałą postawą. Od czasu do czasu popijała ze szklanki Jerzego, podawała mu ją do ust, a gdy opuściły go już wszystkie władze umysłu, objęła go za szyję chcąc pieszczotą wymódz jeszcze kilka szklanek, lecz po chwili porzuciła bezwładnego na sofę i zajęła się jeszcze dość trzeźwy mi towarzyszami.

Ta młoda kobieta to Myszka, to ta bezwstydna zalotnica w której objęciach, Ludwika spotkała Jerzego owego smutnego wieczoru.

I dla tej to nędznicy, dla tego hulaszczego towarzystwa opuszczał pracę, sztukę, poezyą i serce kochającej, zacnej kobiety!

Ludwika, ujrzawszy ten smutny obraz wydała cichy jęk rozpaczy i odsunęła się od okna szynkowni.

— Już jest zgubiony na zawsze, szepnęła. Nie mam już co robić na ziemi, smutne posłannictwo skończone. Przywiązanie moje niezdoła go ocalić. Boże zabierz teraz moję tęskną duszę do siebie!

Postąpiła kilka kroków i zachwiała się.

Musiała przywołać całą swą odwagę, wyczerpać ostatek sił zanim doszła do ulicy la Harpe.

Tu nowy grom w nią uderzył: Kilku młodych ludzi przeszło obok ciągnąc za sobą Jerzego, czepiającego się ramienia Myszki.

Ludwika gwałtownym ruchem przysłoniła twarz, błagając Boga, aby dodał jej sił i dozwolił dojść do nędznego poddasza.

Gdy doszła do schodów, wdrapała się na piąte piętro za pomocą poręczy i blada jak mara, prawie bezprzytomna weszła do mieszkania; lecz poza progiem padła omdlona, nie mając siły podnieść się. Bóg wielki ulitował się nad tą duszą cierpiącą!

Jerzy dziewiątego dnia swej hulanki, pijany i chwiejny powrócił do domu o późnej porze. Klucz znalazł we drzwiach, wszedł i na środku pokoju wśród zupełnej ciemności potknął się o jakiś przedmiot, stracił równowagę i powalił się o ziemię.

Nazajutrz gdy otworzył oczy i gdy mu cokolwiek pamięć powróciła, zadrżał na widok nędzy panującej w tem schronieniu i głębokiej ciszy, jaka go otaczała. Uniósł się cokolwiek i zawołał Ludwiki. Nikt nie odpowiedział.

Odwrócił się i spostrzegł iż przez całą noc

głowa jego spoczywała na piersiach nieszczęśliwej kobiety, zlodowaciałej już zimnem śmierci.

Podniósł się i wybiegł jak szalony wołając:

— Umarła, umarła już!

X.

W dwa dni potem na cmentarzu Montparnasse nad grobem świeżo skopanym wznosił się skromny drewniany krzyż, na którym wyryto jedno tylko imię: Ludwika. Przed tym krzyżem klęczał młody mężczyzna, blady i wzruszony. Usta jego poruszały się bez dźwięku, lecz nagle podniósł się i zawołał bluźnierczo:

— Cóż zrobiłem, aby mię tak ciężko Bóg doświadczył? urodziłem się dobrym, a on był dla mnie bez litości. Miałem talent, honor, serce; wszystko to zniweczył. Nie, nie ma sprawiedliwości na ziemi i niebie!

Lecz nagle padł na kolana, wyszeptał kilka słów, które wiatr uniósł i znów się podniósł z wyrazem rozpacznego smutku.

— Nie umiem się modlić, szepnął.

Powoli oddalał się błądząc wśród grobów.

— Panie, zawołał zwracając się do pierwszego nieznajomego napotkawszy go, panie módl się za nią!

Ten spojrzał na niego i odwrócił się w inną stronę nic nie odpowiedziawszy.

— Panie, módl się za nią! błagał drugiego.

— To szaleniec! rzekł ktoś.

— Może jest niebezpieczny! wołano z obawą.

— To tylko nieszczęśliwy, odezwał się ktoś litościwszy.

I wszyscy się oddalili, a Jerzy Franchy pozostał sam.

— Och! ludzie są niewdzięczni! wołał, lecz przebaczam im, oni jej nie znali...

I wracał do czarnego krzyża, chwiejęc się i zakrywając twarz rękoma.

Pochylił się znów nad grobem, gdy w tem ujrzał zdala zakonną szatę siostry miłosierdzia. Pobiegł do niej i wskazując mały krzyż czarny, wołał błagalnym głosem:

— Módl się za nią, módl się za świętą, siostro!

Siostra miłosierdzia poszła za nim, uklękła na grobie i złożyła ręce do kornej modlitwy.

I odtąd długo spotykano na cmentarzu Montparnasse błąkającego się wśród grobów nieszczęsnego szaleńca, błagalnym głosem wołającego:

— Módlcie się za nią! Módlcie się za nią!

Siostra miłosierdzia codzień przychodziła modlić się za Ludwikę, lecz pewnego wieczoru dołączyła modlitwę i za duszę biednego poety. tłómaczyła *Halina.*

CHANCELLOR.

NOTATKI PODRÓŻNEGO J. R. KAZALLON

przez

Juliusza Verne.

(Dalszy ciąg).

Na niezmierzonej wysokości tratwa zatrzymała się i przy silnem świetle błyskawic krzyżujących się na wszystkie strony, my biedni ogłuszeni i przestraszeni, ujrzeliśmy pod sobą ocean pieniący się jak gdyby rozbijał skały. Tratwa odzyskała swoje położenie poziome, ale w skutek tych gwałtownych szarpań pękły sznury, któremi były przywiązane baryłki. Widziałem jedną z nich jak spadała z pomostu, druga zaś rozleciała się w kawałki wylewając na wszystkie strony wodę którą była napełniona!

Majtkowie rzucili się ażeby pochwycić drugą baryłkę z suszonem mięsem, na nieszczęście jednak jednemu z nich wpadła noga pomiędzy rozsunięte deski platformu które nanastępnie znów się ścisnęły. Nieszczęśliwy ryczał z bólu. Chcąc biedz do niego rozerwałem wiążące mnie sznury.., już było zapóźno. W oślepiającej błyskawicy ujrzałem biedaka z drewnianą nogą uniesionego przez bałwan, który uderzył na nas w tej chwili. Jego towarzysz znikł razem z nim, zanim zdążyliśmy pespieszyć na ratunek. Mnie zaś morze rzuciło na platformę gdzie uderzywszy się o jakiś kąt wystający, upadłem bez zmysłów.

XXXVI.

22 grudnia. Dzień nareszcie zabłysnął i słońce zajaśniało z pomiędzy chmur, pozostałych od wczorajszej burzy. Starcie się żywiołów trwało zaledwie kilka godzin, ale powietrze i woda nie mogły się jeszcze uspokoić po tej szalonej walce. Mogłem tylko opisać sam jej początek, bo długie zemdlenie, które nastąpiło po uderzeniu, odebrało mi zupełnie możność uważania na przebieg wypadków. Wiem tylko że wkrótce potem uragan uspokoił się pod wpływem gwałtownym ulewy osłabiającej elektryczne natężenie powietrza, burza nie przetrwała nocy. W krótkim tym jednak przeciągu czasu wieleż nam ona szkód wyrządziła, wiele strat niepowetowanych, jakże okropna nędza będzie jej następstwem! Z całych potoków wody, które wylała nie byliśmy w możności zatrzymać ani kropelki. Odzyskałem zmysły dzięki staraniom panów Letourneur i miss Herbey; ale Robert Kurtis ocalił mi życie powstrzymując mnie w chwili kiedy bałwan chciał mnie unieść z pokładu.

Jeden z majtków których woda nam porwała był to Austin młody człowiek lat 28-mu, posłuszny, dzielny i odważny. Drugi był stary irlandczyk. O' Ready, co przeżył tyle rozbić na morzu. Jest nas wszystkiego 16 osób na tratwie, a teraz zobaczmy co nam pozostało z żywności. Robert Kurtis chciał się przekonać i zrobić jej dokładny obrachunek.

Wody nie zabraknie nam jeszcze, bo na spodzie rozbitej beczki jej około 60 kwart, druga zaś zupełnie jest nietknięta. Dwie baryłki w których było suszone mięso i złowione przez nas ryby woda uniosła nic nam nie pozostawiając, sucharów ocalało wszystkiego około 60-ciu funtów. Sześćdziesiąt funtów na szesnaście osób t. j. ośm dni żywności licząc po pół funta na dobę.

Robert Kurtis wyjaśnił nam jak rzeczy stoją; słuchano go w milczeniu, po czem każdy zamknął się w sobie i tak smutnie spędziliśmy dzień cały. Widocznem jest jednak że też same myśli zrodziły się w głowie każdego. Dziwnie spoglądamy po sobie i widmo głodu zaczyna nas prześladować. Dotychczas nie jesteśmy jeszcze pozbawieni żywności i napoju; porcye jednak wody trzeba zmniejszyć, co zaś do sucharów...

Zbliżywszy się niechcący do grupy majtków leżących na przodzie tratwy, usłyszałem jak Flaypol mówił do towarzyszów: — Dobrze by zrobili ci którzy mają umrzeć, żeby pospieszyli.

— Masz racyę, odpowiedział Owen, tym sposobem reszta miałaby na dłużej żywności.

Dzień przeszedł w ogólnym upadku na duchu. Każdy dostał pół funta sucharów. Jedni z nas pożarli go z rodzajem wściekłości, inni z rozsądnem umiarkowaniem. Zdaje mi się że inżynier Falsten rozdzielił swoję porcyę na tyle kawałków ile razy na dzień przywykł jadać, potem zjadł jeden, resztę chowając na później.

Jeżeli któremu z nas przeznaczono przeżyć wszystkich, to chyba Falstenowi.

XXXVII.

Od 23 do 30 grudnia. Po burzy wiatr pociągnął od północo-wschodu i dmie ciągle z równą siłą. Musimy z niego korzystać albowiem zbliża nas ku ziemi. Za staraniem Daulasa znów silnie ustawiono maszt, zawieszono żagiel i tratwa postępuje ciągle przebiegając przeszło dwie mile na godzinę. Zreperowano także rudel, urządzony za pomocą drąga i kawałka szerokiej deski. Nieszczególnie on działa wprawdzie, pod wpływem jednak wiatru popychającego tratwę, nie trzeba zbytecznych wysileń ażeby nią kierować. Przy pomocy sznurów i klinów pościągano deski platformy, poręcz z prawej strony uniesiona przez fale została znów odbudowaną, przez co zakryci jesteśmy przeciw bałwanom. Jednem słowem zrobiliśmy wszystko co było w naszej możności, ażeby wzmocnić tę nietrwałą wiązankę z masztu i desek skleconą.

Nie w tem jednak leży największe nasze niebezpieczeństwo. Wraz ze słońcem wróciły upały zwrotnikowe, które nam poprzednio tyle dokuczyły. Dzisiaj na szczęście, lekki wietrzyk chłodzi nas niekiedy. Zbudowano dobry namiot na tyle tratwy i z kolei pod nim szukamy schronienia. Pomimo tego brak żywności daje się dotkliwie uczuć. Każdy widocznie cierpi z głodu. Policzki nam pozapadały, twarze wychudły. U wielu z nas system nerwowy jest silnie zaatakowany, ściskanie się żołądka sprawia przykre uczucie. Gdybyśmy dla oszukania tego głodu, dla uśpienia pili jaki narkotyk np. opium lub tytoń, może niecierpielibyśmy tyle, Nie! my nic nie mamy.

Jeden z nas przynajmniej nie czuje tych cierpień. Porucznik Walter pożerany nieustanną gorączką od dawna już nic nie je, pragnienie jednak dokucza mu straszliwie. Miss Herbey pomimo tego że sama część swojego napoju oddaje choremu, potrafiła uzyskać u kapitana powiększenie porcyi wody i co kwadrans zwilża nią usta porucznika. Walter nie może już prawie mówić i wzrokiem tylko dziękuje za opiekuńcze starania. Biedny chłopiec skazany na śmierć; nie ma siły, która byłaby w stanie utrzymać go przy życiu. Przynajmniej długo cierpieć nie będzie. Dziś zdaje się że odzyskał świadomość swojego losu, i dał mi znak ażebym się do niego zbliżył. Usiadłem obok niego. Zebrał

wtedy wszystkie siły i przerywanemi słowami zapytał:

— Panie Kazallon, czy ja prędko skończę?

Na chwilę zawahałem się z odpowiedzią co Walter zauważył.

— Mów pan prawdę, rzekł, całą prawdę.

— Nie jestem lekarzem, nie mógłbym więc...

— Nic nie szkodzi, odpowiedz pan, bardzo proszę.

Długo patrzyłem na chorego, potem położyłem ucho na jego piersi. Od kilku dni suchoty zrobiły gwałtowne postępy. Jedno z płuc nie działa już zupełnie, drugie zaś zaledwie wystarcza na potrzeby oddychania.

Walter jest ofiarą gorączki, która zwykle zwiastuje koniec w piersiowych słabościach.

Cóż miałem odpowiedzieć pytającemu biedakowi. Wzrok jego tak badawczo wlepił się we mnie, że nie widziałem co robić i szukałem tylko sposobu wymknięcia się.

— Mój przyjacielu, rzekłem, w obecnem naszem położeniu, nikt z nas nie może liczyć na, to żeby pozostało mu jeszcze wiele dni żywota.... Kto wie czy za jakie ośm dni, z tych wszystkich, co są na tratwie...

— Za ośm dni! szepnął porucznik, nie spuszczając oczów ze mnie.

Przez następne dnie, to jest 24, 25, 26 grudnia, nic się nie zmieniło.

Chociaż może to się wydawać nieprawdopodobnem, ale przyzwyczailiśmy się do głodu i nie umieramy.

Opowiadania rozbitków często już zaznaczały wypadki podobne. Czytając je, zawsze posądzałem opisujących o przesadę. A jednak tak nie było i dziś przekonywam się, że brak żywności dłużej można znieść, niż zwykle sądzą. Zresztą kapitan uważał za stosowne do pół funta chleba, codzień dodawać nam po kilka kropli wódki, i sposób ten żywienia zadziwiająco podtrzymuje nasze siły. Gdybyśmy mieli na dwa miesiące, na miesiąc chociaż zapewnioną taką porcyę!

Na nieszczęście zapasy wyczerpują się, każdy przewiduje chwilę w której zabraknie nam i tego szczupłego posiłku.

Morze musi nas zaopatrzyć w ryby, ale dotąd wcale się to nie udaje; pomimo tego że bosman i cieśla z rozplątanych konopi i gwździ wyciągniętych z podłogi statku, porobili wędki z czego bosman szczególniej bardzo się cieszył.

— Nie są to zbyt eleganckie haczyki, ale byle przynęta była, to i na te gwoździe ryby do skonale się łapać będą! To tylko bieda, że oprócz sucharów nic nie mamy, a te rozpływają się w wodzie. Żebym tak jedną rybkę złapał, to już potem nie zabrakło by nam świeżego mięsa na przynętę, ale to właśnie sztuka złapać pierwszą rybę.

Bosman ma racyę i rybołówstwo zapewne się nie powiedzie. Probujemy jednak szczęścia ale żadna ryba nie chwyta. Widocznie zresztą, te morza nie są rybne.

Przez cały 28 i 29 ponawialiśmy próby, ale zawsze bezwocnie. Suchary rozpływały się w wodzie napróżno. Zresztą szkoda marnować resztek naszej ostatniej żywności, której okruszyny już prawie zliczyć można. Bosman widząc to, wymyślił założyć na haczyk szmatkę materyi wełnianej. Panna Herbey udzieliła kawałeczek czerwonego szala którym była okryta. Może być że ten jaśniejący gałgan skusi jaką żarłoczną rybę.

30-go zrobiliśmy nową próbę. Przez kilka godzin wędki stały zapuszczone w głębinę. Po wyciągnięciu okazało się że ryby nie tknęły nawet szmaty.

Bosman upadł na duchu. Jeszcze jeden środek ratunku wymknął się nam. Cóżbyśmy dziś dali za tę pierwszą rybę, przy pomocy której moglibyśmy łowić inne.

— Niedługo będę miał lepszą zanętę dla mojej wędki, rzekł bosman pod cichu do mnie.

— Jaką? zapytałem.

— Dowiesz się pan w swoim czasie, odpowiedział dziwnie jakoś spojrzawszy na mnie.

Nie rozumiem co mogą znaczyć te wyrazy w ustach człowieka tak zwykle umiarkowanego? Myślałem o tem całą noc.

XXXVIII.

Od 1-go do 5-go stycznia. Trzy miesiące już upłynęło odkąd Chancellor wypłynął z Charleston; od dwudziestu zaś dni jesteśmy rzuceni na tej tratwie, oddani na łaskę morza i wiatrów. Nie możemy zupełnie pomiarkować, czy zbliżyliśmy się ku zachodowi, ku lądowi Ameryki, czy też burza odrzuciła nas na środek oceanu. Podczas ostatniego uraganu pomimo zachowanej ostrożności, potłukły się instrumenta obserwacyjne. Kurtis nie ma ani busoli do wskazania kierunku, ani też sextantu do oznaczenia wysokości.

Nieszczęśliwy zbieg okoliczności które nas dotąd uparcie prześladowały, każe się spodziewać, że znajdujemy się gdzieś bardzo daleko od lądu.

Ta zupełna niepewność ma w sobie coś rozpaczliwego, ale nadzieja nigdy nie ulatuje zupełnie z serca ludzkiego i wbrew całemu rozumowaniu często łudzimy się myślą że znajdujemy się już w bliskości lądu. Każdy więc spogląda na horyzont szukając na tej czystej linii śladu upragnionej ziemi.

Oczy nasze, szczególniej pasażerów nienawykłych do morza, co chwila zdają się spostrzegać coś na poziomie wody, i tem boleśniejsze sprawiają rozczarowanie.

Zdaje się ci że widzisz... nic nie ma!

To obłoczek jakiś, to mgła, to kołysanie się fali. Ziemi tam nie ma, żaden okręt nie ukazuje się na tej szarej przestrzeni, gdzie niebo i morze zlewają się w oddali.

Tratwa zawsze stanowi środek tej pustyni kulistej. 1-go stycznia zjedliśmy ostatni suchar, a raczej ostatnie okruchy suchara. *1-go stycznia*, wieleż wspomnień ten dzień przywodzi nam na pamięć, i przez porównanie z dzisiejszem położeniem jakże smutnym się nam wydaje.

Zmiana roku, życzenia noworoczne składane w kółku rodzinnem. Nadzieja którą się serca poją, dla nas to wszystko przestało istnieć. Czyż ktokolwiek z nas ośmieliłby się powtórzyć dziś te słowa: Życzę ci nowego roku! słowa których nie sposób prawie wymówić bez uśmiechu na twarzy? Czyż dla nas nie rok ale dzień jeden życia pozostał jeszcze?

Pomimo to bosman zbliżył się do mnie i z szczególnym wyrazem twarzy rzekł:

— Panie Kazallon, winszuję panu.

— Czy nowego roku?

— Nie, tylko rozpoczynającego się dnia, bo dziś będziemy ostatni raz w życiu jeść.

Tak jest, nic nam nie zostało, a pomimo tego że każdy wiedział o zupełnem wyczerpaniu się zapasów żywności, kiedy o zwyczajnej godzinie odmówiono nam porcyi, byliśmy jakby piorunem rażeni! Nikt nie chciał wierzyć w ten post przymusowy!

Nad wieczorem uczułem gwałtowny kurcz żołądka który następnie wywołał ziewanie bolesne, w dwie godziny potem wszystko się uspokoiło.

Nazajutrz to jest 3-go, ze zdziwieniem spostrzegłem że nic mi nie dolega. Czułem w sobie niezmierną próżnię, ale zarówno moralną jak i fizyczną. Głowy ciężkiej i osłabionej nie mogłem prawie utrzymać na korku, i doznaję ciągłego zawrotu, jak gdybym spoglądał w przepaść u nóg mych będącą.

Nie wszyscy jednak doznają tych samych symptomów. Kilku z nas cierpi straszliwie, szczególniej bosman i cieśla, którzy z natury już potrzebują wiele jeść.

Boleści zmuszają ich do krzyków mimowolnych, i każdy z nich związał się mocno sznurem. A to dopiero drugi dzień. Ah! te pół funta suchara, ta szczupła porcyjka która wydawała się nam tak niewystarczającą, dziś w wyobraźni naszej dorosła olbrzymich rozmiarów, kiedy nic już nie pozostało! Ten kawałek suchara, gdyby nam teraz dano choć połowę, choć ćwiarteczkę, mógłby utrzymać nas przez kilka dni przy życiu! Tak, po okruszynie jedlibyśmy, powoli.

W mieście oblężonem kiedy głód zapanuje można jeszcze znaleść na śmieciach, w rynsztoku, w kącie jakim, kość nieogryzioną, korzonek w pomyjach wyrzucony, i zaspokoić lub oszukać na chwilę głód.

Ale na tych deskach tyle razy zmytych przez fale, gdzie już w każdą szpareczkę zaglądaliśmy, wyskrobali kąciki w które wiatr mógł rzucić jakąś odrobinę chleba, tak na tych deskach nic nie ma. Napróżno było szukać.

Noce są straszliwie długie do przebycia, dłuższe niż dnie. Napróżno pragnę od snu choćby chwilowego zapomnienia. Sen jeżeli zamyka nam oczy, to tylko w gorączkowem marzeniu pełnem widziadeł.

Jednakże dziś w nocy, znużony, twardo przespałem kilka godzin.

Nad ranem zbudził mnie hałas na tratwie. Wstałem i widzę na przodzie murzyna Ynxtrop, Owena, Flaypola, Wilsona, Burkego, Sandona zgromadzonych w zaczepnych widocznie zamiarach.

Te łotry pochwyciły narzędzia ciesielskie, jak siekiery, dłuta i młoty, któremi zagrażają kapitanowi, bosmanowi i cieśli.

Natychmiast przyłączyłem się do Kurtisa, za moim przykładem poszedł Falsten. Mamy tylko noże pomimo to bronić się będziemy.

Owen z całą hałastrą zbliżyli się ku nam. Są pijani. W nocy dobrali się do baryłki z wódką i prawie wszystką wypili.

Ale czegoż chcą?

Owen i Ynxtrop mniej pijani, podburzają spojonych alkokolem majtków żeby nas wymordowali.

— Precz z Kurtisem! wołają... W morze kapitana! Owen będzie dowódcą, Owen nich komenderuje.

Owen też podszczuwa całą szajkę, Ynxtrop służy mu tylko za pomocnika. Nienawiść tych dwóch ludzi względem oficerów okazała się teraz, bunt chociażby udał się, nic nie zmieni w naszem położeniu. Zausznicy ich jednak nie zastanawiają się nad tem i uzbrojeni groźnie ku nam się zbliżają.

Kurtis podszedł i krzyknął:

— Rzucić broń!

— Śmierć kapitanowi! wrzasnął Owen.

Nędznik znakami podburzał swoję szajkę, tymczasem Robert Kurtis rozpychając pijanych zbliżył się prosto ku niemu.

— Co chcesz, zapytał?..

— Precz z dowódcą na tratwie! wszyscy tutaj są równi.

Głupi szaleniec! Czyż nędza już nie zrównała nas wszystkich!

— Owenie, powtórzył kapitan, złóż broń.

— Ty sam się poddaj, odpowiedział Owen.

Walka rozpoczęła się. Owen i Wilson rzucili się na Kurtisa, odbijającego ciosy kawałkiem drąga, jednocześnie Burke i Flaypol wpadli na Falstena i bosmana. Przeciwko sobie miałem murzyna Ynxtropa, który chciał mię zamordować toporem. Pochwyciłem go obydwoma rękami ażeby powstrzymać uderzenie, ale łotr był silniejszy odemnie. Po kilku chwilach widziałem że nie dotrzymam mu placu, nagle Ynxtrop padł wznak na platformę pociągając mię za sobą. To Andrzej Letourneur pochwyciwszy go za nogę, przewrócił w samą porę. Ta pomoc ocaliła mnie. Murzyn padając wypuścił broń, którą pochwyciłem chcąc mu zmiażdżyć czaszkę... Andrzej z kolei powstrzymał mnie. Buntownicy schronili się na przód tratwy. Robert Kurtis, uniknąwszy ciosów które mu chciał zadać Owen, porwał za siekierę i uderzył nią z całej siły. Owen odskoczył na bok i siekiera rozpłatała piersi Wilsonowi. Nędznik padł wznak i zniknął w morzu po za tratwą.

— Ratujcie go! ratujcie go! zawołał bosman.

— Zabity, odpowiedział Daulas.

— Właśnie dla tego, krzyknął bosman, i zamilkł nie dokończywszy rozpoczętego zdania.

Śmierć Wilsona położyła koniec walce. Flaypol i Burke pijani do najwyższego stopnia upadli bez czucia. Pochwyciliśmy więc Ynxtropa i przywiązali u stóp masztu. Owena zdołali także ująć cieśla i bosman.

Kurtis z siekierą w ręku zbliżył się ku niemu mówiąc:

— Módl się nędzniku, bo wybiła ostatnia twoja godzina.

— Widać że pan masz wielki apetyt zjeść mnie, odrzekł Owen z całą bezczelnością.

Ta straszliwa odpowiedź ocaliła mu życie. Robert Kurtis odrzucił siekierę którą chciał zabić Owena i blady ze wzruszenia usiadł na tyle tratwy.

XXXIX.

5-go i 6-go stycznia. Scena ta głębokie na nas uczyniła wrażenie. Odpowiedź Owena w okolicznościach w jakich się znajdujemy przeraziła i przygnębiła najenergiczniejszych.

Jak tylko umysł mój trochę się uspokoił, żywo podziękowałem młodemu Letourneur, którego przytomność ocaliła mi życie.

— Pan mi dziękujesz? Powinieneś raczej przeklinać!

— Ciebie, Andrzeju!

— Panie Kazallon, ja przedłużyłem tylko twoję nędzę!

— Panie Letourneur, rzekła miss Herbey, spełniłeś swój obowiązek.

Zawsze poczucie obowiązku kieruje tą młodą dziewczyną! Wychudzona i wybladła przez pragnienie i głód, w podartych sukniach, ale ani jedna skarga z ust jej nie wyjdzie; tyle nędzy nie może jej pognębić!

— Panie Kazallon, rzekła, wszak jesteśmy przeznaczeni na śmierć głodową.

— Tak jest, panno Herbey, odpowiedziałem twardo.

— Jak długo można żyć bez pożywienia?

— Może więcej niż myślimy, długich bez końca dni!

— Osoby silnej konstytucyi więcej cierpią, prawda?

— Tak ale umierają prędzej. To ich nagrodą!

Jak mogłem odpowiadać w ten sposób tej młodej dziewczynie?

Jakto, ani słowa pociechy nie znalazłem dla niej. Nagą prawdę rzuciłem jej tylko w oczy! Czy uczucie ludzkości zupełnie wygasło we mnie? Panowie Letourneur, patrzą na mnie zdumieni, jasnemi, ale przerażająco rozszerzonemi przez głód oczami. Wzrokiem pytają się nawzajem czy to naprawdę ja mówiłem. Kilka minut potem, gdyśmy zostali sami, panna Herbey przemówiła do mnie cichym głosem:

— Panie Kazallon, chcesz pan oddać mi przysługę?

— Tak jest miss, odpowiedziałem tą razą ze wzruszeniem, gotów jestem wszystko uczynić dla młodej dziewicy.

— Jeślibym umarła przed panem, co może nastąpić pomimo że jestem słabszą od niego, przyrzecz mi że wrzucisz moje ciało w morze.

— Panno Herbey, wybacz mi...

— Nie, nie, przerwała żywo napół z uśmiechem, miałeś pan racyę przemawiając do mnie w ten sposób, przyrzecz mi, błagam o co cię proszę. Żywa nie obawiam się niczego... ale umarła.... Wszak spełnisz moję prośbę? Obiecałem. Panna Herhey podała mi wychudzoną rękę z podziękowaniem.

Jeszcze jedna noc przeszła. Cierpienia moje chwilami bywają tak gwałtowne, że nie mogę powstrzymać krzyku wydzierającego się z mej piersi; gdy przejdą wpadam w rodzaj obłędu, po oprzytomnieniu dziwi mnie że towarzysze moi jeszcze żyją. Głód najmniej zdaje się dokuczać gospodarzowi statku p. Hobbart, o którym dotąd bardzo mało mówiłem. Jestto mały człowieczek o fizyonomii dwuznacznej, o spojrzeniu słodkiem, uśmiechający się często uśmiechem, który porusza tylko jego usta, oczy ma wiecznie wpół przymknięte, jakby dla ukrycia ich wyrazu, słowem cała jego osobistość tchnie fałszem. Przysiągłbym że jest hipokrytą. Jeśli mówiłem że on najmniej zdaje się cierpieć, to nie dla tego żeby się nie użalał. Przeciwnie, jęczy bezustannie, ale nie wiem czemu jęki jego wydają mi się udanemi. Będę pilnował tego człowieka, bo mam na niego posądzenie które muszę wyjaśnić.

Dzisiaj 6 stycznia p. Letourneur, poprowadził mnie na tył tratwy z ostrożnością, widocznie nie chce być ani widzianym ani słyszanym. Ciemno już było, zatem łatwo uniknęliśmy wzroku pasażerów.

— Panie, mówi do mnie po cichu p. Letourneur, Andrzej jest bardzo słaby! Syn mój umiera z głodu! ją nie mogę dłużej na to patrzeć, nie mogę. Pan Letourneur mówi tonem w którym przebija gniew powstrzymywany, spojrzenie jego ma w sobie coś dzikiego. Ah! ileż ten biedny ojciec musi cierpieć!

— Panie, rzekłem biorąc go za rękę, nie traćmy nadziei. Może jaki okręt....

— Nie przyszedłem do pana po oklepane pociechy, przerwał mi niecierpliwie; że okrętu nie spotkamy wiesz o tem dobrze. Idzie mi o co inszego: jak dawno mój syn, pan i inni nie jedliście? Mocno zdziwiony tem pytaniem, odpowiedziałem:

— Od 2 stycznia sucharów zabrakło, dziś mamy 6-go, a więc 4 dni jak...

— Jakeście nie jedli, dokończa p. Letourneur, ja zaś od ośmiu!

— Ośm dni!

— Tak! oszczędzałem dla mojego syna!

Na te słowa łzy mi z oczu wytrysły. Pochwyciłem za ręce p. Letourneur.... nie mogłem przemówić. Patrzę się na niego!.... Ośm dni.

— Panie, wyrzekłem nareszcie, czego chcesz odemnie?

— Pst!.. Nie tak głośno, niech nikt nas nie słyszy.

— Ale mów pan!

— Ja chcę... rzekł zniżając głos... ja pragnę abyś ofiarował Andrzejowi...

— Ależ, pan sam, czyż nie możesz?

— Nie! nie!.. Domyślił by się że ja nie jadłem dla niego, odmówiłby... Nie! trzeba aby to pochodziło od ciebie.

— Panie Letourneur!

— Przez litość! zrób mi tę łaskę, największą o jaką cię błagam... a zresztą... za pańskie trudy... Mówiąc to, p. Letourneur bierze mnie za rękę i ściskając ją z lekka...

— Tak za twoje trudy... będziesz jadł... trochę!..

Biedny ojciec! Słuchając go drżę jak dziecię! Do głębi czuję się wzruszony, a serce zdaje mi się że pęknie! Równocześnie czuję, że p. Letourneur wsuwa mi w rękę kawałek suchara.

— Strzeż się, aby cię nie zobaczono. Potwory! zabili by cię! Jutro dam ci znowu kawałek! Nieszczęśliwy nie ufa mi! A może ma i racyę. Czując ten kawałek suchara w ręku, muszę bardzo panować nad sobą aby go nie zjeść.

Wytrzymałem próbę. Ci co mnie czytają mogą sobie wyobrazić ile mnie ona kosztowała! ja wysłowić nie umiem. Gdy noc nadeszła przysunąłem się do Andrzeja i podałem mu ten mały kawałek suchara, jako pochodzący odemnie.

Biedny Andrzej rzucił się na niego.

— A mój ojciec? zapytał.

Odpowiedziałem że jego ojciec dostał ró-

wną część... że jutro... i dni następnych, będę jeszcze mógł mu dać... niech bierze! niech bierze!

Andrzej nie pytał mi się skąd ja mam suchary, i żarłocznie poniósł swój kawałek do ust.

XL.

7 stycznia. I tego wieczoru jeszcze, pomimo ofiary pana Letourneur nie jadłem nic... nic!

Od kilku dni woda która zalewa platformę tratwy za każdym wzniesieniem fali, obdziera do żywego mięsa, skórę z nóg majtków. Owen, którego bosman za bunt trzyma na przodzie tratwy, znajduje się w okropnym stanie. Na prośby nasze rozwiązano go. Sandon i Burke także mają nogi pokaleczone przez sól; my zaś dotychczas uchroniliśmy się od tego, albowiem tył tratwy jest wyżej wzniesiony.

Dziś rano bosman, pod wpływem głodowego szaleństwa rzucił się na szmaty starego płótna wiszące na końcach starych masztów.

Dotąd słyszę zgrzyt jego zębów, pożerających te gałgany. Straszliwy głód zmusił nieszczęśliwego, do wypychania żołądka czemkolwiek, ażeby powstrzymać gwałtowne kurcze.

Po długich poszukiwaniach udało mu się odszukać kawałek skórzanego obicia na jednym z masztów.

Ta skóra, to materya zwierzęca, gryzie i ją więc z niedającą się opisać chciwością, i zdaje się po przełknięciu że jest mu daleko lepiej. Wszyscy zaczęliśmy go naśladować, kapelusz z lakierowanej skóry, daszek od czapki, jednem słowem cokolwiek było materyą zwierzęcą zostało pożarte.

Był to instynkt zwierzęcy, któremu podlegliśmy wszyscy bez możności powstrzymania się. Zdawało się przez chwilę że nic w nas nie ma ludzkiego. Nigdy nie zapomnę tej okropnej sceny. Głodu nie zaspokoiliśmy, ale przynajmniej na chwilę przestał nam dokuczać. Niektórzy z nas jednak nie mogli znieść tego rodzaju pokarmu i wyrzucili go też w gwałtownych wymiotach. d. c. n.

ROZMAITOŚCI.

Naukowe.

— Dnia 28 marca, odbyło się posiedzenie biologiczne warszawskiego towarzystwa lekarskiego. Na posiedzeniu tem dr. Szokalski mówił o potrzebie sprawdzania śmierci przez ustanowionych *ad hoc* lekarzy, tak jak to się dzieje za granicą. Pan Milicer przedstawił rezultat rozbioru chemicznego wody żelazistej z Goździkowa powiatu Opoczyńskiego, która mieści w sobie znaczną ilość soli żelaznej i jest dość smaczną. Miejsce to, jako wody żelazne, w razie otwarcia projektowanej linii kolei żelaznej przerzynać mającej Opoczyńskie, może być bardzo licznie uczęszczane. Z rozprawy dra Kopernickiego p. t. „Czaszki z kurchanów pokuckich" dr. Chomentowski czytał sprawozdanie. W sprawozdaniu tem zaznacza, że w epoce kurchanowej odznaczał się lud o długogłowych kształtach czaszek.

— Sejm genewski powołał profesora dra. Zygmunta Laskowskiego wychowańca byłej szkoły głównej warszawskiej do Genewy, ofiarując mu posadę profesora anatomii w nowo założonym wydziale lekarskim przy tamecznym uniwersytecie z pensyą 8,000 fr. rocznie.

— W dniu 14 marca odbyło się posiedzenie komissyi dla historyi i literatury w akademii umiejętności w Krakowie.

— Podobno zawiązuje się przy Warszawskim uniwersytecie towarzystwo przyrodnicze.

— Uczona komisya spirytystów w Petersburgu rozwiązała się po bezrezultatowych posiedzeniach.

— Na uniwersytecie Jagiellońskim przyznano pp. Maurycemu Żebrowskiemu i Lucyanowi Zengteller stopnie doktorów medycyny, Morelewskiemu zaś stopień doktora praw. Dwaj pierwsi pochodzą z Królestwa, ostatni z Krakowa.

— Przy uniwersytecie Strasburskim mianowany został docentem i starszym asystentem fizyki dr. Wróblewski, po obronie złożonej poprzednio rozprawy.

— Bardzo postępowo znalazła się (*sic*) Rada związkowa niemiecka, bo odmówić miała udzielania subsydyów na podróże podbiegunowe ze skarbu cesarstwa.

— W dniu 20 z. m. odbyło się posiedzenie wydziału matematyczno-przyrodniczego w Krakowskiej akademii umiejętności.

Literackie.

— Wyszło na widok publiczny dzieło p. t. „Polacy w rodzinie Słowian" przez dra Juljana Wajnberga.

— Pani Morzkowska napisała powieść nową p. t. „W czasie żniw."

— „Konrad Walenrod" Mickiewicza przełożony został na język włoski.

— Redaktor „Gazety Rolniczej" p. Jan Święcicki napisał dzieło p. t. „O dużej, średniej i małej własności ziemskiej, oraz o galicyjskiem towarzystwie parcelacyi i budowy," drugie zaś dzieło p. t. „O dzierżawcach wiejskich pod względem gospodarczo-społecznym i prawnym."

— Dr. Laurysiewicz przełożył dzieło d-ra Krafta p. t. „Nauka uprawy roślin gospodarskich na podstawie teoryi i praktyki."

— Profesor Schroeder napisał dzieło p. t. „Nauka o chorobach kobiet."

— Pan Erazm Nowicki opracował obszerny kurs buchalteryi, który oddanym już został do druku.

— Encyklopedyi rolnictwa wyszedł 36 zeszyt całego dzieła, a pierwszy tomu IV, obejmujący literę L i początek Ł.

Społeczne.

— Na mocy zezwolenia Najjaśniejszego Pana utworzone zostało stypendyum imienia Mikołaja Kopernika przy uniwersytecie Warszawskim.

— W maju przypada 50-letni jubileusz literackiej działalności K. W. Wójcickiego, na uczczenie którego wyjdą ozdobione pięknemi illustracyami jego „Klechdy."

— W Lublinie mają podobno założyć szkołę rzemieślniczą z zapisu ś. p. Konarskiego.

— Podobno zawiązuje się stowarzyszenie, mające na celu skupowanie lasów w Królestwie, lecz na zasadach, nie sprzeciwiających się prawidłom gospodarstwa leśnego.

— Polska resursa kupiecka założoną została w Berlinie pod Lipami. Na prezesa obranym został p. Pilacki, zastępcą został p. Oborski, sekretarzem Majewski, a kasyerem Bukowiecki.

— Towarzystwo naukowe w Poznaniu ogłosić ma podobno dwa konkursy: jeden dramatyczny, drugi literacki. Ustanowiono tedy dwie komisye specyalne do wyznaczenia odpowiednich tematów.

— W Krakowie zmarł w d. 18 marca ś. p. Aleksander Kurtz jeden z założycieli „Biblioteki Warszawskiej," były członek b. Rady stanu Król. Polskiego — znany finansista i przemysłowiec.

— W miesiącu marcu odbyły się u nas *ogólne zebrania* miejscowych towarzystw ekonomicznych, a mianowicie: towarzystwa kredytowego miejskiego, stowarzyszenia „Merkury," towarzystwa ubezpieczeń od ognia i towarzystwa wzajemnego kredytu.

— Niedawno odbyło się ogólne zebranie członków towarzystwa opieki nad zwierzętami.

Odczyty.

W ubiegłych tygodniach miały miejsce następujące odczyty na rzecz osad rolnych:

Pan I. M. Kamiński mówił o małżeństwie, Pani Orzeszkow o niedolach dziecięcych, P. Milicer o ozonie. P. J Grajnert o oświacie ludowej. P. Plebański o pedagogicznem znaczeniu nauk klasycznych. P. Wojciech Gerson o kierunkach we współczesnem malarstwie, P. hr. Tarnowski trzy odczyty o komedyach Fredry (ojca).

Powodzenie odczytów było w ogóle znakomite, sala ratusza literalnie nabita szczególniej na odczytach hr. Tarnowskiego, który wytworną i zajmującą formą zachwycał słuchaczów. Osady rolne otrzymają więc spory zasiłek.

OD REDAKCYI.

Upraszamy PP. Prenumeratorów o zgłaszanie się wprost do biura Redakcyi przy ulicy Nowy-Świat Nr. 72, z zamówieniami prenumeraty na niniejsze pismo, począwszy od kwartału bieżącego, jak niemniej z nadsyłaniem należności za też prenumeratę.

Odpowiedzi Redakcyi.

Pani Aglaurze Klucz... Artykułu, łaskawie nam nadesłanego drukować nie będziemy, ponieważ polemika z *Przeg. Katol.* zadługo w jednym przedmiocie przeciągałaby się.

Poglądy wszakże Pani objęte wzmiankowanym artykułem najzupełniej podzielamy i uznajemy je za sprawiedliwe.

Sprostowanie. W Nr. 14 „Opiekuna Domowego." dostrzeżono omyłki a mianowicie:

Na początku pisma w szpalcie pierwszej zamiast *Nie złudzenie* powinno być *Niezłudzenie* (w jednym wyrazie). W siódmym wierszu w tej samej szpalcie zamiast *darzy* powinno być *durzy*, i w 11 wierszu zamiast *drogom* powinno być *progom*.

OGŁOSZENIA.

Дозволено Цензурою. Варшава 30 Марта (11 Апрѣля) 1876 г.

W drukarni J. Korzeniewskiego.— Warszawa, St.-Jerska, Nr. 1769*a* (12 nowy)

Wydawca J. Korzeniewski.

Redaktor Henryk Perzyński.